

DZIS: JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III

Warszawa, 26 stycznia 1947 r.

Nr 4 (61)

TREŚĆ NUMERU: Ks. J. Salamucha – Zło i cierpienie, K. Kk. – Sprawa Wasylewskiego, J. Robliczek – Czy naprawdę tajemnica? Sł. Rembek – Wyrok na Franciszka Kłosa, J. Wilczańska – Prawda Rawensbruck, dh. – Zagadnienia i poglądy, J. Dobraczyński Przygody Kazimierza imieniem Koźniewski, J. Kawecki – Spór o „Penelope”, J. Pelc – Kordian pokrzywdzony, mk. – Zakazane piosenki

Zygmunt Przetakiewicz

NAKAZ REALIZMU

„Krwia polską dowiedzmy światu nasze prawo do niepodległości”

Istnieją dwie krańcowo różne, lecz dopełniające się mentalności, czeska i polska. Gdyby Czesi chcieli i potrafili umierać za sprawę ojczyzny tak jak Polacy, a Polacy żyć dla niej tak jak Czesi, dopiero wówczas możnaby mówić o pełnej dojrzałości politycznej obu narodów.

Pod Białą Górą wraz ze szlachtą czeską zginął duch walki tak ongiś walecznego narodu. Z niewątpliwych korzyści materialnych, jakie Czesi, zawdzięczając swojej postawie, wynieśli z tej wojny w stosunku np. do Jugosławii czy Polski, nie należałoby wyciągać wniosku, że walka zbrojna o utrzymanie czy odzyskanie niepodległości jest politycznym absurdem. Abstrahując od niemoralności takiej postawy, gdyby każdy naród liczył na to, że inni za niego bić się będą o jego niepodległość, to agresor, a tych nigdy nie zabraknie, miałby szalenie uproszczoną sytuację. Wystarczającym kontr-argumentem jest również fakt, że Czechy po kilkuletniej niewoli zawdzięczają wolność rozpadnięciu się Austro-Węgier. Gdyby cesarstwo austriackie utrzymało się dłużej na mapie Europy, to nie wiadomo, czy proces niemieczenia się Czechów nie stałby się po pewnym czasie procesem nieodwracalnym.

Kompleks polski zrodziły rozbiory. Czasy przedrozbiorowe, to przeważnie okres zacofania, prywatny i egoizmu królewskich i szlachty, to złota wolność szlachecka, zrywane sejmy, pańszczyźniane niewolnictwo, to „sukno szkarłatne”, z którego każdy magnat chciałby dla siebie udzielną księstwo wykroić.

Przedrozbiorowa polska rzeczywistość, rozbiory i wolverowska Europa stały się zewnętrzną przyczyną powstania romantyzmu wieszczów. Polska — Chrystusem narodów — ale który i własne grzechy chce odkupić.

Wielka Rewolucja francuska idealizuje w oczach Polaków Zachód, staje się dla nich nadzieją zerwania kajdan niewoli, których o własnych siłach Polacy nie są w stanie się pozbyć.

Naród Polski, pozbawiony własnego państwa, rozdarty między trzech zaborców, nie ma zewnętrznych warunków rozwoju. Przeżywając uczuciowo własne winy i niesprawiedliwość świata, wypacza jednocześnie swą psychikę, tylko ofiarą krwi chce grzechy swe odkupić i zwrócić oczy Zachodu na swą ciężką dolę — chce wstrząsnąć sumieniem świata. Tak powstaje kompleks udawadniania światu krwią polską prawa Polski do niepodległości. Napoleon wytwarza w nas wiarę, że ślona, wierna służba Zachodowi przyniesie Polsce wolność. Napoleon przegrał; Polacy nie mogli przekonać się naocznie, jak wyglądałaby wolność otrzymana z jego rąk. Poniatowski przeciwstawia pojęcie honoru narodowego polskiej racji stanu Elstera podniesiona do rangi bohaterstwa narodowego, staje się drogowskazem dla następnych pokoleń. Nie ważne jest, czy walka, którą się rozpoczyna, niesie w sobie szanse zwycięstwa, ważne jest to, że Polak składa ofiarnie swe życie na ołtarzu Ojczyzny.

Kosa z Oksywia, lanca, butelka z benzyną w naszym ręku — to nie tylko broń przeciwko czołgom, to credo polityczne Polaków.

Polskie powstańcze groby pozostaną dla nas zawsze narodową świętością, ale dla przyszłości naszej musimy raz wreszcie spojrzeć w krzywe zwierciadło, aby pozbyć się tych kompleksów, które naród nasz ku przepaści pchają, które z nas, narodu o wielkiej przeszłości i możliwościach, czynią narzędzie cudzej rozgrywki, a nam pozostawiają ruiny miast i krzyże grobów powstańczych.

Tacy, jakimi jesteśmy, spotkaliśmy na swej drodze naród brytyjski.

Anglicy są bezsprzecznie narodem dojrzałym politycznie, który nie tylko umie rządzić się i gospodarować, ale potrafi także walczyć dzielnie o swoje imperium. Anglik, tak w codziennym życiu, jak i składając daninę z krwi, musi widzieć w tym angielski „common sense”. Obecnie

są demonstracje polityczne kosztem angielskiej krwi, zadziwianie świata szarżami kawalerii na czołgi nieprzyjacielskie. Jak inaczej wyglądała angielska Dunkierka od ewakuacji wojsk polskich z Francji. Anglicy zostawili Niemcom sprzęt — uratowali ludzi. Polacy zaś przywieźli do Anglii tylko część wojsk ze sprzętem produkcji francuskiej sprzed pierwszej wojny światowej, kosztem tysięcy swoich żołnierzy, pozostawionych na brzegu i skazanych na obozy niemieckie. Żołnierz polski, defilujący z bronią w ręku w czerwcu 1940 ulicami Glasgow, na tle angielskiej Dunkierki, to wspaniała demonstracja polskiej postawy z okresu tej wojny.

Pięć lat po tym Anglia wygrała wojnę.

Chcąc zrozumieć stosunek Anglii do losów naszych w ostatnich latach, musimy jeszcze poznać dość ciekawą cechę mentalności angielskiej. Na kilka lat przed ostatnią wojną rząd brytyjski

przedstawił w Lidze Narodów wniosek o niebombardowanie na wypadek wojny otwartych miast i wsi. W niedługim czasie potem samoloty angielskie zrównały z ziemią kilka wiosek hinduskich za bunt przeciwko brytyjskiej władzy. Trzeba było widzieć szczere oburzenie Anglików na konsternację opinii publicznej francuskiej. Anglik nie rozumiał, jak można łączyć sprawę wiążącą się z ewentualnością wybuchu zbrojnego konfliktu w Europie z wewnętrzną sprawą imperium brytyjskiego. „Perfidny Albion” nie jest właściwym określeniem Anglii. Anglicy sprzecznie perfidni nie są. Szczere i głębokie przeświadczenie, że to, co jest dobre i korzystne dla Anglii, jest dobre i korzystne dla innych, a zatem obiektywne moralne, jest zasadniczą cechą umysłowości angielskiej. Jeśli przy tego typu mentalności uwzględnimy tradycyjną linię dyplomacji angielskiej, że Anglia nie może mieć stałych przyjaciół i wrogów, to zestawiając ją z brakiem chwiejności politycznej narodu polskiego, będziemy mogli zrozumieć wzajemne rozczarowania polsko-brytyjskie.

Monte Casino, powstanie warszawskie, Chambois, obecna konspiracja, to równia pochyła, po której stacza się naród polski ku biologicznemu wyniszczeniu. Naród, który przekroczy dopuszczalne granice wpływu krwi, obumiera. Jesteśmy nad granicą przepaści. Jest to oczywiście winą nas samych, naszych schorzeń narodowych i naszej naiwności. Niemniej Anglia korzystając z tego, chciałaby naszymi rękoma wyciągać kasztany z ognia. Łudząc Polaków obietnicami, dawanyimi przez Roosveeta czy Churchilla, wpręgnęła nas w rydwan swojej polityki. Polska od początku wojny przewidziana była w strefie wpływów rosyjskich, ale jako źródło niepokoju.

Można zrozumieć nastawienie społeczeństwa, natomiast trudno wybaczyć tym, którzy uważają się za jego przywódców. Coprawda mówi się, że naród ma takich wodzów, na jakich go stać. Gen. Anders, czy gen. Maczek, wykrywający swe dywizje w imię hurra-patriotycznego zawołania: „Dowiedzmy światu krwią polską prawo Polski do Niepodległości”, wtedy, kiedy Zachód i tak określone miejsce i rolę Polsce w Europie przeznaczył, Mikołajczyk, którego nic nie nauczył styczeń 1944, gotowość Anglii dania gwarancji nienaruszalności nowej granicy Polski, ale tylko wschodniej, pokrywającej się z linią Curson'a — wszyscy oni, mając może najlepsze intencje, źle się Polsce zasłużyli i swoją działalnością przynoszą Jej nadal szkodę. Jeszcze społeczeństwo nasze woli tych, którzy rozwijają mu najbardziej nierealne marzenia przyszłości, od tych, co biorąc polską rzeczywistość taką jaką jest, starają się z niej wyciągnąć maksimum korzyści dla kraju.

Jesteśmy narodem bardzo prężnym i bardzo zdolnym, ale w momentach dla nas dziejowych nie możemy być tylko watach politycznych demonstrantów o do- brych chęciach służenia ofiarnie Rzeczy- pospolitej.

Wytyczne

ZAGADNIENIE WŁADZY

NIEWĄTPLIWYM celem każdego ruchu ideowo-politycznego jest zdobycie władzy. Zagadnienie to nasuwa jednak współcześnie wielu ludziom wątpliwość.

Czyż można przypuszczać, żeby partie zablokowane oddały komukolwiek władzę, szczególnie po utwierdzeniu swojej pozycji wynikiem wyborów.

Czyż pełna energii i wiary w słuszność własnej postawy działalność marksistów pozostawia w tym względzie jakiegokolwiek złudzenie?

Zagadnienia te powtarzające się niezliczoną ilość razy w dyskusjach kół opozycyjnych celowo wydobywamy na wierzch. Są to kwestie dla nas bardzo ważne, sami bowiem jesteśmy częścią opozycji.

Rozstrzygnięcie nasze jest proste. Przekonanie partii zablokowanych o celowości dalszego rządzenia przez nich Polską nie może doprowadzać do absurdów.

Niedorzecznym zaś wydaje się nam zarówno zajmowanie postawy rezygnacji i bierności jak dążenie do odebrania partiom zablokowanym władzy zapomocą interwencji obcej. Rezygnacja i negacja jest absurdem, gdyż wytwarza pustkę w społeczeństwie opozycyjnym, które dla ideowych marksistów stwarza najłatwiejsze warunki do realizacji koncepcji, w które oni wierzą.

Zamiar usunięcia partii zablokowanych przez prowokowanie interwencji obcej jest nieodpowiedzialny i fantastyczny. Nieodpowiedzialny, gdyż w czasie walki o granice zachodnie czyni z Polski marionetkę w grze międzynarodowej mocarstw.

Pozatem liczenie na interwencję mocarstw zachodnich wydaje nam się fantastyczne. Tak fantastyczne jak naprzykład liczenie na interwencję Związku Radzieckiego w Irlandii w celu zaprowadzenia tam rządu komunistycznego.

Co opozycja zatem winna czynić?

Należy przede wszystkim stwierdzić, że partie zablokowane rządzą, ponieważ trafniej od innych oceniły bieg zdarzeń międzynarodowych. Fak ten umożliwił im reprezentowanie polskiej racji stanu w współczesnej Europie.

Racji stanu zaś pod groźbą zakłamania nie może lekceważyć żaden opozycjonista. Racja stanu wymaga, aby kraj zamknął problem walki o władzę w swych granicach. Oczywiście przy takim postawieniu sprawy nie ma na najbliższe lata zagadnienia walki o pełnię władzy w państwie, jest natomiast problem walki o rzeczywisty udział w rządzeniu krajem.

Czy jest możliwe?—sądzimy, że tak. Rządzące bowiem współczesną Polską partie zablokowane (mimo ideowej wyłączności) wydają się zbyt rozsądne, aby nie docenić obiektywnej konieczności dopuszczenia do udziału we władzy ideowej opozycji, kierującej się racją stanu.

Tak rozumując trzeba jednak żyć według wyznawanej idei, konkretnie pracować i realnie służyć narodowej racji stanu.

W kraju...

ZABÓJSTWA I PROCESY

OKRES wyborczy minął przy tragicznym akompaniamencie mordów politycznych.

W szeregu okręgach wyborczych, szczególnie na prowincji, giną z rąk podziemia funkcjonariusze państwowi i działacze PPR.

Od chwili założenia naszego pisma potępliliśmy jak najostrej mordy bratobójcze. Dzisiaj z przerażeniem i głęboką troską obserwujemy nową falę teroru i bandytyzmu. Równocześnie jesteśmy świadkami serii procesów politycznych. Procesy takie toczą się w Warszawie, Białymstoku, Łodzi i w szeregu innych miast polskich. Nasz stosunek do WIN'u, NSZ'tu jest znany i nieraz zabieraliśmy głos w tej sprawie. Potępiając surowo walki bratobójcze apelujemy jednak do władz państwowych. Uzupełnijmy surowość sprawiedliwości prawą ogłoszeniem jaknajszerszej amnestii.

ZAWÓD

WUBIEGLYM tygodniu odwiedzili po raz drugi po wojnie Polskę wielkiej miary uczeni pp. Joliot-Curie. Po przez Kraków i Warszawę przejechali na Śląsk, wyrażając wszędzie uznanie i podziw, jakie wzbudziły w nich postępy naszej odbudowy w okresie ich nieobecności. Wiele ciepłych i szczerze przyjacielskich słów padło w czasie wizyty wielkich uczonych pod naszym adresem. A jednak czujemy się nieco zawiedzeni. Wśród wypowiedzi brakowało tego, co byłoby dla nas najbardziej ciekawe — uwagi o pracach naukowych i ich postępie w pracowniach francuskich. Liczymy, że przyszła wizyta będzie miała nie tylko kulturalny i turystyczny charakter.

PIERWSZY KROK

PREZYDIUM KRN powzięło uchwałę nadania odznaczeń matkom licznych rodzin i wieloletnim małżeństwom. Udzielono wiele złotych, srebrnych, i brązowych krzyży zasługi. Bardzo dobrze. Walcząc o odrodzenie rodziny w Polsce, nie możemy nie podkreślić pozytywnego znaczenia tego kroku. Nie trzeba jednak zapominać, że jest to jednak krok o charakterze przede wszystkim moralnym. Był zaś rodziny opiera się niestety o podłoże materialne. To też nadanie odznaczeń nie wystarczy. W ślad za nim pójść musi pomoc materialna dla matek obdarzonych licznym potomstwem, ulgi podatkowe, a nade wszystko ułatwienia mieszkaniowe. To będzie dopiero realna pomoc. Czekamy postawienia dalszych kroków.

Nowoprzybywający prenumeratorki i wszyscy zainteresowani mogą otrzymać za zaliczeniem pocztowym początkowe odcinki powieści

STANISŁAWA REMBEKA



**WYROK
NA
FRANCISZKA
KŁOSA**

opłacając jedynie koszt numerów pisma

Ks. Jan Salamucha

Zło i cierpienie

Dlaczego możemy grzeszyć i musimy cierpieć?... Droga naszego życia poprzedzona jest wilczyimi dołami niebezpieczeństw moralnych — trzeba ostrożnie chodzić, żeby w nie nie wpadać. Na wewnątrz ciągle, w najlepszym razie, stan równowagi nietrwałej, bo różne wiatry, a czasami i wichury, targają naszym życiem psychicznym. Cierpienie byłoby, bodaj, pierwszym obrazem, jakim by świat witał nowego człowieka, gdyby on już wtedy zdolny był do robienia postępów; a potem cierpienie conajmniej cienką nitką wetka się w ściegi życiowe — jeżeli nie całą kanwę życia zasnuje; cierpienie jest ostatnim, śmiertelnym akordem kończącym się tutaj życia. Dlaczego jest tak i dlaczego tego tak wiele? — Oto pytania, które dręczyły myśl ludzką od wieków i dalej niepokoić nie przestają. Mocny, a twarde i tępy duchowo człowiek tych zagadnień nie widzi — dopóki mu sił starczy, z dołów skutecznie się wydobywa, jeżeli w nie wpaść; od innych podobnej sprawności żąda, mniej sprawnych lekceważy i gotów ich brutalnie z terenu życia usuwać. Ateusz lub agnostyk z większą lub mniejszą rezygnacją, z większym lub mniejszym dla innych współczuciem te zjawiska konstatuje i jeżeli pytanie postawi, to są to dla niego raczej „retoryczne pytania“ zgnębionego serca, niż rzeczywiste zagadnienia. Rzeczywistym, nieraz dręczącym, zagadnieniem jest zło i cierpienie tylko i wyłącznie dla ateisty. Świat cały jest tworem nieskończenie dobrego i wszechmocnego Boga, od Boga całkowicie zależą i struktura świata, i wszystkie jego kolejne przemiany. Dlaczego Bóg dozwala, żeby chwasty zła tak bujnie się rozrastały, a cierpienie tak gnębiło, ścierając czasami na proch dusze ludzkie?

1. ROZWIĄZANIE DUALISTYCZNE

Najprostsze rozwiązanie, jakie tu się narzuca, to będzie rozwiązanie dualistyczne — i było ono, rzeczywiście, historycznie najwcześniejsze. Obok Boga źródła wszelkiego dobra, istniałaby druga równa lub prawie równa potęga, źródło wszelkiego zła i cierpienia. Świat jest rezultatem działania obydwu tych antagonistycznych potęg i dlatego ślady obydwu w sobie nosi. Takie rozwiązanie, mniej lub więcej wyraźne z rozmaitymi teoretycznymi uzupełnieniami przewijało się przez całą filozofię starożytną, grecko-rzymską. Wyjątkowo ostro takie rozwiązanie zostało rozbudowane w religii staro-perskiej: Ormuzd — bóg dobry i Aryman — bóstwo złe. Wpływy perskie pojawiły się na granicy chrześcijańskim w postaci pewnych sekt: Manichejczycy w III w., Katarzy w wiekach średnich; pewnych tendencji dualistycznych, ale bez wyraźnego dualizmu i bez historycznych związków z dualizmem perskim, możemy się dopatrzeć we francuskim Jansen'izmie w w. XVII. Rozwiązanie dualistyczne nie da się pogodzić z nieskończoną doskonałością Boga i dlatego zostało kategorięcznie odrzucone przez ortodoksyjną myśl chrześcijańską. Jeżeli obok Boga uznamy istnienie równej Mu, albo prawie równej potęgi przeciwnej, to doskonałość Boga będzie tak przez tę antagonistyczną potęgę ograniczona, że już nie będzie doskonałością nieskończoną.

2. WYJASNIENIE POJĘĆ

Rozwiązanie chrześcijańskie rozbudowane zostało ewolucyjnie, głównie przez św. Augustyna i św. Tomasza z Akwinu. Tylko niewielki fragment tego rozwiązania należy jeszcze do filozofii, główna jego część wchodzi już w zakres teologii. Fragment filozoficzny tej odpowiedzi nie rzuca jeszcze na te sprawy pełnego światła, pozostawia je raczej w półcieniu, ale trzeba w ciemności wyjść w półcień, żeby potem można było iść dalej. Zanim przystąpimy do tego wyjaśnienia, trzeba przedtem uporządkować samo zagadnienie przy pomocy odpowiedniej aparatury pojęciowej — jest to zwykle potrzebne, ale tu szczególnie ważne, bo nam daje trochę teoretycznego dystansu względem tych tak bardzo nieobojętnych kwestii.

Warto najprzód rozróżnić zło statyczne i zło dynamiczne. Złem statycznym będziemy nazywali wszelkiego rodzaju braki w strukturze danego przedmiotu lub zespołu przedmiotów. Zło dynamiczne — to braki, przejawiające się w zależnościach funkcjonalnych, w działaniu przedmiotów. Jeśli chodzi o zło dynamiczne, to należy rozróżnić zło ontologiczne i zło moralne. Złem ontologicznym są te braki funkcjonalne, które są konsekwencją braków strukturalnych danego przedmiotu (złe zmontowany zegarek źle chodzi). Zło moralne jest jakimś odchyleniem czynności rozumnej od obowiązującej jej wykonawcy normy moralnej. W złu moralnym tradycyjnie rozróżnia się dwa aspekty: aspekt materialny — że jest to jakieś działanie, aspekt formalny — jest to działanie niezgodne z obowiązującą normą moralną.

3. ROZWIĄZANIE TOMISTYCZNE

Teraz możemy przystąpić do tego wyjaśniania. Jeśli chodzi o zło statyczne, to trzeba zauważyć, że jakieś braki strukturalne są nieodłącznie związane z samym faktem istnienia stworzeń. Nieskończenie doskonały jest tylko Bóg, stworzenia muszą być ograniczone pod względem doskonałości i dlatego nie mogą nie mieć jakichś braków. Po prostu mamy tu alternatywę wyczerpującą: albo niema nic poza Bogiem, albo istnieje coś poza Bogiem — ale wtedy to, co jest różne od Boga, ma jakiegoś braki. Dalej, na temat zła statycznego, zauważmy, że pewna jego porcja jest konsekwencją zła moralnego. Człowiek — a to samo z pewnymi koniecznymi zmianami będzie się odnosiło do wszystkich istot rozumnych — może działalnością swoją zrujnować własny swój organizm, komplikować własne życie psychiczne, przez dziedziczenie przekazywać swoje indywidualne zmiany na potomstwo, w orbitę swoich wpływów wciąga inne jednostki ludzkie, człowiek wreszcie organizuje różne porządki życia zbiorowego. Zło moralne pociąga za sobą jako konsekwencję różne braki strukturalne. Czy wszelkie dostrzegane i odczuwane przez nas braki strukturalne mieszczą się w tych dwóch wymienionych kategoriach? W większości konkretnych wypadków sprawy są tak genetycznie zawikłane, że nie umiemy rozstrzygnąć, do której z wymienionych kategorii należałoby dostrzeżony brak zaliczyć. A może istnieje jeszcze jakaś kategoria zła statycznego? Otóż tu stanowczo trzeba odpowiedzieć przecząco: nieskończenie doskonała Istota nie może dopuścić więcej braków, aniżeli te, które są nieodłącznie związane z sobą naturą stworzenia, lub też są konsekwencją nadużytej wolności. Zło dynamiczne ontologiczne jest konsekwencją zła statycznego i nie potrzebuje dodatkowych wyjaśnień. Zło moralne chociaż pod względem materialnym — jak wszystko, co jakoś istnieje — zależy co prawda od Boga, w swoim aspekcie formalnym jest wynikiem tylko i wyłącznie nadużytej wolności. Ale dlaczego Bóg stworzył istoty wolne i na tyle słabe, że mogą nadużywać swej wolności? W odpowiedzi na to pytanie możemy już tylko snuć nieśmiało domysły.

Mógł Bóg nie stwarzać wcale istot wolnych i mógł Bóg obdarzyć wszystkie istoty wolne taką doskonałością, jaką mają teraz aniołowie, którzy, będąc wolnymi, grzeszyć nie mogą, bo tak bezpośrednio obcują z Dobrem Najwyższym, że żadną wartość pociągnąć ich gdzie indziej nie może. Mógł Bóg tak postąpić, ale nie musiał, bo w swym akcie stwarzania żadną koniecznością nie był związany. Dlaczego wśród stworzeń znalazły się istoty wolne i słabe zarazem? Stajemy tu wobec nierozwiązalnej zagadki. Wmyślając się w nieskończoną moc i dobroć Boga, możemy tylko ufać, że „tym, którzy miłują Boga, wszystko dopomaga ku dobremu“ (Rzym. 8, 28). Powyższe wywody można streścić w dwóch następujących nie będących konsekwencją zła moralnego, jest ubocznie Bóg o tyle, że te braki strukturalne są nieodłącznie od sa-

meo istnienia stworzeń. 2) przyczyną zła moralnego w jego aspekcie materialnym jest naprawdę Bóg, ale jego aspekt formalny zależy tylko i wyłącznie od wolnej przyczyny stworzonej.

A cierpienie to tylko swoisty, psychiczny aspekt istniejącego zła. Cierpimy, odczuwając braki strukturalne; cierpimy w związku z bezskutecznością lub niedostatecznie skutecznymi wysiłkami; cierpimy przez rozdarcie moralne i świadomość popełnianych błędów. Świat jest wielkim, bogatym układem rozciągniętym szeroko w czasie i przestrzeni. Oglądamy tylko jego fragmenty przestrzenne i tylko jakieś cząstkowe wycinki czasowe. Zdajemy sobie sprawę, że oceny fragmentów, wyizolowanych od reszty całości, są bardzo niedokładne, bo przecież główna rola fragmentu polega na tym, że jest on elementem całości. Tak się czasami składa że życie nas stawia zbyt często wobec fragmentów ciemnych — przed ich pesymistycznymi sugestiami bronimy się świadomością, że są to tylko fragmenty wielkiej, nieznannej nam całości, a w tej całości inaczej by może wyglądały.

Filozofia zła i cierpienia pozostawia nas w półmroku — przynębiającym dla dusz wrażliwych. Dopiero nauka objawiona o grzechu pierwotnym, odkupieniu i łasce rzuca obfitsze światło na nasz dramat życiowy i pokazuje bogate źródła energii.

Zagadnienie zła na serio przemyślane, jest jednym z tych łazysk, i to jednym z głównych, które wiodą człowieka w kierunku szukania oparcia i pomocy poza sobą — w Objawieniu.

Sprawa Wasylewskiego

W drugiej (po „Roku ziemi obcej“) części moich wojennych wspomnień („Przez dziesięć wojen“), napisanej jeszcze wczesnym latem ub. r., umieściłem pewien fragment, który wydaje mi się ciekawym przytoczyć. Rzecz działa się w Stambule jakiś czas po zajęciu Lwowa przez Niemców w roku 1941.

„W tym całym potoku tak różnorodnych wiadomości — prawie niepostrzeżenie minęła depeza, jaką z Warszawy nadesłał do bazy wojskowej (w Stambule) ówczesny komendant ZWZ gen. Rakoń (t. j. Grot). Baza wojskowa miała wówczas kontakt radiowy z Londynem, którego nie miała Warszawa. Rakoń dopytywał się gorliwie o losy znanego pisarza Stanisława Wasylewskiego, który w latach 1939-41 deklarował się wobec władz radzieckich, jako pisarz marksistowski... Zdziwiła nas troskliwość Rakoń o losy Wasylewskiego. Teraz, gdy znamy dalsze ewolucje tego pisarza i jego współpracę z Niemcami, depeza komendanta ZWZ wygląda stokroć ciekawiej...“

Powyższe słowa pisałem na parę miesięcy przed niedawną rozprawą sądową przeciw Stanisławowi Wasylewskiemu, oskarżonemu o współpracę w niemieckich gadzinówkach. Przyszłszy do kraju w roku 1943 dowiedziałem się o pracy Wasylewskiego — myśl o depezy Grota prześladowała mnie wtedy uparcie. Jeden jedyny wybitny pisarz polski, autor książki „Na Śląsku Opolskim“ — w współpracy z Niemcami... I do tego ta troskliwa depeza Rakoń, każąca za wszelką cenę nawiązać kontakt z Wasylewskim... Wszystko to razem było więcej niż dziwne. I oto nakońiec przyszło pełne rozwiązanie jej zagadki. Przyszła pełna rehabilitacja człowieka i pisarza. Międzynarodowy Sąd Rzeczypospolitej stwierdził, że Wasylewski był współpracownikiem niemieckiego pisma z wyraźnym poleceniem polskiej organizacji podziemnej, że brał udział w redagowaniu polskiej prasy podziemnej na terenie Lwowa.

To już coś więcej niż zwykła rehabilitacja. To stwierdzenie, że człowiek ten i pisarz stał na jednym z najtrudniejszych posterunków pracy konspiracyjnej; gdyż właśnie takie były te wszystkie, do których zakresu obowiązków należało kontaktowanie się z okupantem. Jan Szwarcziewicz twierdząc w „Warszawie“, iż tłumaczenie o współpracy z rozkazem podziemia jest rzucaniem piasku w oczy — nie zdaje sobie zupełnie sprawy z tego, że ludzie na takich właśnie funkcjach tworzyli owe „oko“ podziemia, bez którego cała nasza tajna walka byłaby ślepa. Bez wtyczek w Gestapo nigdy byśmy nie dowiadawali się o wynikach śledztwa, co pozwalało nam lokalizować wsypy. Bez wtyczek — nie byłoby całej sławnej akcji pod Arsenalem, nie byłoby tyłu innych. I ileż łatwiej było tkwić ołkiem w podziemiu, niż prowadzić tak niebezpieczną i psychicznie potworną — podziemia gre-

W swiecie...

NIEMIECKI PROCES

W LONDYNIE rozpoczęły się rozmowy zastępców ministrów spraw zagranicznych Wielkiej Czwórki, mającej ustalić procedurę porządku obrad marcowej konferencji w Moskwie, wysłuchać dezyderatów i opinii narodów zainteresowanych traktatami z Niemcami, w pierwszym rządzie Polski, oraz — o co wydadają się być istotnym zadaniem tej konferencji — wymienić pierwsze, nieoficjalne poglądy poszczególnych mocarstw, tak by ministrowie spotkawszy się za dwa miesiące w Moskwie, mogli już zgrubsza być zorientowani w żądaniach kontrahentów. Jak informują — przedmiotem pierwszej wymiany zdań jest sprawa, czy układ zawarty w przyszłości z Niemcami ma być statutem, czy traktatem. W pierwszym wypadku byłby narzucony Niemcom jednostronnie, w drugim wymagałby zgody — utworzonego w tym celu wcześniej — rządu niemieckiego.

W ten sposób rozpoczął się polityczny proces największego zbrodniarza wojennego — Niemiec, jako państwa i narodu. Opinia polska proces ten winna obserwować z wielką uwagą i dobrze się stało, iż z ramienia największego pisma w Polsce, „Przekroju“, wyjechał do Londynu, jako obserwator konferencji, najlepszy, najbezbunniejszy, nie obarczony partyjnymi skrzywieniami ideologicznymi polski publicysta — Edmund Osmańczyk. Przynajmniej mamy pewność, że będziemy informowani rzetelnie. Czekaśmy na informacje z Londynu z niecierpliwością.

ANGLIA — FRANCJA

PEWNYM pendant do rozpoczętych w Londynie rozmów na temat niemiecki — niewątpliwie są sprawy, jakie stało się na linii Londyn — Paryż. Najpierw Londyn zareagował nader słabo i słabkowo na stworzenie przez rząd Bluma faktu dokonanego, polegającego na włączeniu Saary do Francji. Następnie doszła nas wiadomość, iż oba rządy, francuski i brytyjski, dyskutują możliwość celnej. Nakoniec 15 stycznia ogłoszono rezultat londyńskiej wizyty Leona Bluma. Jest nim podpisanie sojuszu francusko-angielskiego. Ścisłe zbliżenie francusko-brytyjskie stało się szczególnie łatwe w chwili, gdy rządy sprawował Blum, gdyż on właśnie już od wielu miesięcy domagał się ścisłej współpracy tych dwóch państw. PAP donosi z Paryża, iż z sojuszu szczególnie zadowoleni są socjaliści i MRP, natomiast komuniści zgłaszają szereg obiekcji, głównie dotyczących terminu dostawy węgla dla Francji z zagłębia Rhury. Sojusz z Francją będzie miał niewątpliwie pewien wpływ na politykę Wielkiej Brytanii w stosunku do Niemiec.

SOCJALISTA — PREMIEREM

Jak można było oczekiwać — jako rezultat posiadania przez komunistów i MRP prawie równych sił — socjaliści (SFIO) będą we Francji w najbliższych dniach języczkiem u wagi. Po wyborze Bluma na premiera, obecnie wybrany został na prezydenta Republiki na lat 7 socjalista Vincent Auriol — członek prawego skrzydła SFIO, grupującego się koło Bluma. Przeszedł on głosom komunistów i socjalistów, przeciw kandydatowi MRP Champetier de Ribes, piastującemu godność przewodniczącego Rady Republiki na rok 1947. Nowy prezydent powierzył utworzenie rządu socjaliście Ramadier, który chce zjednoczyć koło siebie wszystkie partie od komunistów do umiarkowanej prawicy. W ten sposób Francja zakończyła stan powojennego przewozu politycznego i personalnego i wkroczyła na drogę stabilizacji swych wewnętrznych stosunków. Stabilizację stosunków zewnętrznych przyniesie dopiero traktat z Niemcami.

Szczawiej swoim nieprzemysłanym, pochopnym, łatwym osądem krzywdzi nie tylko już teraz Wasylewskiego, ale wielu ludzi. Wielu innych, którym sady polskie nie tylko przywracają obywatelską cześć, ale których niejako swoimi rehabilitującymi wyrokom przedstawiają do najwyższych odznaczeń. Byli to bowiem ludzie specjalnie wartościowej pra-

cy konspiracyjnej, trudniejszej psychicznie, bardziej niebezpiecznej i wymagającej większych walorów intelektualnych, niż jakakolwiek inna. Po wyroku na Stanisława Wasylewskiego — zrozumiałem treść istotną depeszy generała Grota.

Na marginesie tej sprawy należy jesz-

cze dodać jedno: wydaje się nam, iż nikt inny, tylko sądy państwowe są najbardziej powołane do wyrokowania w tego rodzaju sprawach spornych. Sprawach, nieprzewietrzonych których powoduje przy kry czad. Na literackim podwórku na szczęście nie jest ich wiele. Ale jest jeszcze jedna. Sprawa Łaszkowskiego.

K. Kk.

Juliusz Robliczek

Czy naprawdę tajemnica?

Paweł Jasienica w artykule „Tajemnica Narwi“ postawił pytanie: dlaczego na odcinku Narwi, który przez wszystkich był uważany za pewnego rodzaju naturalną granicę z Niemcami i nosił wszelkie cechy pozycji umocnionej z natury, już w dniu 6 września 1939 Niemcy zdołali się przedrzeć i dokonać okrężniczego manewru od północy z głębokim wianiem sięgającym po Brześć Litewski? Jasienica nie negując w zasadzie twierdzeń zawartych w książkach płk. Kirchmayera i ppłk. Horaka, w których obaj autorzy piszą o niepotrzebnym oddaniu linii Narwi przeciwnikowi bez poważniejszego z jego strony nacisku, zadaje pytanie:

Czy nad górnym biegiem Narwi nie zaszły wypadki usprawiedliwiające odwrót z całej linii tej rzeki?

Jak wiadomo płk. Kirchmayer w swojej „Kampanii wrześniowej“ omawia w zasadzie jedynie działania na rejonie miejscowości Rożan, pomijając prawie że całkowicie wydarzenia, jakie zaszły w rejonie Wizny, t. j. u ujścia Biebrzy do Narwi.

Otóż w obszarze tym zaszły wypadki, które w konsekwencji uczyniły niemożliwym utrzymanie odcinka nad Narwią. Stało się to jednak dopiero w dniu 8 września, a więc w dwa dni później od wydarzeń opisanych w „Kampanii wrześniowej“.

Ta sprawa dat wymagać będzie osobnego omówienia i do niej jeszcze powrócimy.

Tymczasem zapoznajmy się z relacją uczestników tej kampanii, zawartymi w książce „Mit den Panzern in Ost und West — Volk und Reich Verlag 1942 — nawiasem zaznaczamy, że książka ta jest podana przez płk. Kirchmayera w bibliografii „Kampanii wrześniowej“.

Zawiera ona szereg szkiców z przebiegu kampanii w Polsce i Francji, charakteryzujących niemiecką broń pancerną, a wydał ją spec „Panzerwaffe“ gen. Guderiana.

Postuchajmy, co mają nam do powiedzenia na interesujący nas temat rotmistrz Freiherr von Esebeck i pułkownik Kraiss:

Specjalne zlecenie.
Freiherr v. Esebeck.

Siódmego września przekraczamy po raz drugi z Prus Wschodnich polską granicę. Jako najdalej wysunięte lewe skrzydło niemieckich oddziałów mamy przedrzeć się przez Grajewo i przeprowadzić rozpoznanie nad Narwią w rejonie Łomży.

Nie udaje się nam wziąć Grajewa. Przed mocno rozbudowanymi polskimi umocnieniami połowymi atak szwadronu strzelców motocyklowych staje wśród strat.

Mimo to rozpoznanie musi być przeprowadzone. Grajewo pozostawiamy jednostkom maszerującym za nami.

Jedynie dzięki wsparciu wszystkich zwiadowczych wozów pancernych udaje się nam wyciągnąć strzelców motocyklowych z akcji.

Tracimy jeden wóz zwiadowczy, a wszystkie inne wracają na felgach.

Opony mają poprzecinane seriami kaemów.

Nic nie pomoże. Dywizja czeka na wyniki rozpoznania, straciliśmy już pół dnia. Komendant rezygnuje z wachlarza patroli pancernych.

W zamkniętym szyku obchodzi nasz oddział wywiadowczy Grajewo.

I znowu wdzieramy się w szeroki polski krajobraz.

Naszym celem jest Narawa... Rozpraszamy szwadron polskiej kawalerii.

Otrzymujemy nowy rozkaz: Zdobycie most na Narwi pod Wizną i spróbować przez zaskoczenie otworzyć od tyłu Łomżę.

Jednak nie zawsze idzie tak, jakby się chciało. Tuż przed naszym nosem wylatuje most na Narwi w powietrze. Po drugiej stronie bagnistego koryta rzeki znajdują się polskie umocnienia.

Przy najlepszej woli samą nie przejdziemy...

Musimy czekać, aż przejście wywalczy dywizja.

Teraz droga jest wolna... Dalej gdzieś przed nami musi znajdować się pułk piechoty, który wywalczył przejście przez Narawę. Jedziemy z komendantem oddziału, aby nawiązać z nim łączność.

Nasze zadanie: rozpoznanie z południa w kierunku na Łomżę, którą się ciągle zażarcie trzyma.

Na drodze stoi... nasz generał Guderian.

„Niech Pan pokaże mapę!... „Proszę popatrzeć, ten most na Bugu muszę mieć — do jutra rana“.

Nie wierzę swoim uszom — 100 km. w linii powietrznej... i zaczyna się ściemniać.

„Kiedy może oddział zaczynać?“, „Na tychmiast“.

Patrol na przedzie z prawej i lewej... oddział jedzie tuż za nimi w zamkniętym szyku.

Cel: Most na Bugu koło Tonkiele... Pod zmierzchem przejeżdżamy przez Zambrów... W Ciechanowicach skręcamy z głównej drogi... Most z belek załamuje się pod ciężkim czołgiem...

„Cieężkie pancerne wozy zwiadowcze muszą pomagać autom ciężarowym.“

Mamy już za sobą 50 km. od Ciechanowic... Nie możemy więcej tracić cennego czasu. Z powrotem na główną szosę... Wkrótce przychodzi z przodu meldunek — na głównej drodze polskie oddziały wszystkich gatunków broni w marszu z północy na południe... A więc dalej na boczną drogę — 5 km. równoległe do Polaków...

Stoimy 10 km. przed mostem na Bugu... Obchodzimy miasto Drohiczy... Po pół godzinie meldunek — most nieuszkodzony w naszych rękach... Po stukilometrowej nocnej jeździe zajęliśmy jeden z najważniejszych mostów pomiędzy Warszawą a Brześciem Litewskim.

Opowiadanie płk. Kraissa nosi tytuł: „Niszcząca bitwa w rejonie Zambrowa i Andrzejewa“.

Twierdza Łomża znajdowała się jeszcze w dniu 10 września w rękach Polaków, kiedy korpus pod dowództwem generała broni pancernego Guderiana sforsował Narawę w rejonie Wizny pomiędzy twierdzami Ossowcem i Łomżą i na tyłach Polaków przebił się śmiało na południe, docierając do Bugu.

Pierwszy batalion pułku piechoty X przeprawił się na łodziach gumowych przez Narawę, odrzucił przeciwnika i zdobył panujące wzgórze koło Rutek.

Do południa 10 września przeprawiły się w ten sposób dwa dalsze bataliony tego pułku.

Trzeci batalion, który obszedł wzgórze, natknął się na przeciwnika i odrzucił go w zagajnikach w kierunku na Łomżę. Po południu otrzymał pułk rozkaz zabezpieczenia dróg, prowadzących z Łomży na wschód i południowy-wschód pomiędzy Zambrowem i Narwią...

Polacy pozbawieni połączenia z zapleczem postanowili przebić się na południowy wschód.

11 września uderzyli oni na południowy zachód od Zambrowa na drugi batalion przeważającymi siłami. Zaczęła się ciężka walka.

Batalion zatrzymuje uderzenie, ale zagrożony na skrzydłach musi cofać się na Zambrow. Tam przyjmują go dwa świeżo przybyłe na samochodach bataliony pułku Y — równocześnie wchodzą w akcję trzy kompanie kółka artylerii.

Siła polskiego ataku słabnie i wywiązują się pojedyncze walki.

Przeprowadzony popołudniu kontratak dwóch batalionów ostatecznie zatrzymuje uderzenie. Polska próba przełomu została udaremniowana...

Dnia 10 września przedarł się pod osłoną pułku X pułk piechoty Z na południe i dnia 11 września osiągnął Siemiatycze we wczesnych godzinach porannych. Znalazł się on więc 90 km. na południowy zachód od Zambrowa...

Tak więc w wyniku tego manewru została okrażona 18 dywizja piechoty, która po bohaterskich ciężkich walkach skapitulowała ostatecznie 13 września w rejonie Andrzejowa, okrażona przez zmotoryzowane oddziały piechoty niemieckiej grupy gen. Guderiana.

Z obydwa szkieł, nakreślonych przez oficerów grupy zmotoryzowanej Guderiana, wynika, że:

1) Sforsowanie Narwi nastąpiło 8.IX w rejonie Wizny, dokonał go korpus zmotoryzowany, podlegający bezpośrednio Guderianowi.

2) W wyniku akcji zmotoryzowanych jednostek piechoty została otoczona i zniszczona 18 dywizja, stanowiąca trzon grupy Narawę generała Fijałkowskiego.

3) Głębokość przełomu była wielka i wynosiła około 100 km., sięgając po rejon Brześcia.

4) Ruch zagonu pancernego, posuwającego się w kierunku przeprawy na Bugu w obszarze Drohiczy, odbywał się

równoległe do marszu polskich jednostek, jakie wcześniej oderwały się od nieprzyjaciela i posuwały się w kierunku południowym.

Oddziały te dzięki wcześniejszemu wycofaniu się uniknęły losu 18 dywizji w momencie, kiedy nastąpiło sforsowanie Narwi.

Widzimy więc, że w górze Narwi zaistniała sytuacja zmieniająca u podstaw położenie na północnym odcinku frontu.

Akcie oddziałów niemieckich są przedstawione w książce płk. Kirchmayera na str. 193 i 194.

Dużo miejsca poświęca autor „Nieporozumieniu pod Rożanem“, przyjmując jako nieoczekiwany, rozkaz odwrotu z nad linii Narwi.

Naturalnie samo zamknięte rozpatrywanie sytuacji na północy bez uwzględnienia położenia na całym froncie jest czymś absurdalnym, jednak moim zdaniem należy rozpatrywać je łącznie z przerwaniem pancerno-zmotoryzowanej grupy Guderiana z obszaru „korytarza“, gdzie spełnia rozstrzygającą rolę przy otwarciu połączenia z Prusami Wschodnimi i nawiązaniu łączności pomiędzy III i IV armią.

Grupa ta składała się z 3 dywizji pancernych, 1 dyw. lekkiej oraz 2 i 3 dywizji motorowych.

Po otwarciu drogi przez gardło pomorskie grupa ta szybkimi marszami została przerzucona przez Prusy Wschodnie i prawdopodobnie już gdzieś koło 5 września zaczęła się koncentrować do uderzenia w kierunku na przeprawę na Narwi pod Wizną.

W tym stanie rzeczy zrozumiałą staje się decyzja, wydana dla grupy „Narwi“ oderwania się od nieprzyjaciela.

Dywizja 18, której odwrót się opóźnił, przypłaciła to swoją klęską w kotle pomiędzy Zambrowem i Andrzejowem.

Zdaje się, że po tym przedstawieniu sytuacji „tajemnica Narwi“ przestanie być tajemnicą — oderwanie się polskich oddziałów było niewątpliwie wywołane pojawieniem się na froncie północnym nowego ugrupowania nieprzyjaciela.

Pozostaje jeszcze otwartą kwestia — kto wydał rozkaz odwrotu?

Przyjąć możemy z pełnym prawdopodobieństwem, że decyzja wyszła od woźdza naczelnego Rydza - Śmigłego, który w tym okresie posiadał jeszcze wgląd w położenie na frontach i mógł taką decyzję powziąć, zgodnie zresztą ze swoim planem oporu na linii Bugu.

Tak czy inaczej trzeba stwierdzić, że wszystkie działania oddziałów polskich nosiły charakter wymuszony posunięciami nieprzyjaciela, który ani na chwilę nie wypuścił inicjatywy ze swoich rąk.

„Casus pascudeus“

Kłaniam się Janowi Kottowi — on to rozpoczął najefektowniej serię „byków“ naszej publicystyki. Sprawa biednego Wołydzjowskiego zasieczonego przez Bohuną wywołała w swoim czasie istną burzę w naszej prasie. Ostatnio, na moje szczęście, podobne „wpadki“ przydarzyły się i innym znakomitościom — Żółkiewskiemu np. ubyło podobno parę kilo, gdy z podpisem Boya-Zelenskiego ukazała się fotografia... Mochnackiego.

Potem odbył się pojedynek między Kottem a „jaszczem“ na temat „inkrojobłów“ — z którego się okazało, że mimo wszystko „jaszcz“ nie znał historii rewolucji francuskiej.

Piszę to wszystko oczywiście nie po to, by porównywać swoje nazwisko ze znakomitościami wyżej wymienionymi, a tylko po to, by Iżej mi było się przyznać, że jednak naprawdę, to Chodkiewicz nie zginął pod Cecorą (vide w numerze poprzednim „Oryginalna polemika“), bohy nie mógł pobić Szwedów pod Kircholmem. A pod Cecorą, to poległ Żółkiewski (tylko nie ten z Łodzi). Za to nieporozumienie zgóry przepraszam zarówno obu narodowych bohaterów, jak również i czytelników.

Kolegom z redakcji natomiast, jak i wszystkim krytykom, łącznie ze „Szpilkami“ — zgóry najuprzejmiej kwituję za wszystkie złośliwości, które mi się z tej okazji dostały.

A teraz czekam — co mi prasa przyniesie!

Wojciech Kętrzyński.

Tydzień

kulturalny

NOWOŚCI KSIĄZKOWE

TRZYMALISMY: Z wydawnictw pełnego temperamentu AWIR'u: M. Samozwaniec „Tylko dla kobiet“ (z rysunkami G. Miklaszewskiego) — słabe raczej felietoniki, drukowane poprzednio w „Przekroju“; A. Hoffmeistera „Turysta mimo woli“ (z rysunkami autora, w tłum. Hierowskiego) — świetny nowy „Rok ziemi obcej“, ujrany tym razem oczyma czeskiego humorysty; J. Gerniana „Królowna i jej panny“ — powieść, której fragment był swego czasu drukowany w naszym piśmie. W wydawnictwie Albertinum ukazały się w nowym wydaniu S. Jelenkiego „Płomienne serca“ — prześliczne opowiadania ewangeliczne, jedynego z tego typu w literaturze polskiej. Wielkopolska Księgarnia Wydawnicza wydała H. Małewskiej „Żniwo na sierpnie“ — via romencée Norwida. Spółdz. Księgarska „Nauka“ w Bydgoszczy wydała Władysława Dunarowskiego „Ludzie spod miedzy“ — szereg udanych opowiadań chłopskich. Powieść tego autora p. t. „Leżąc krzyżem“ ma się ukazać niedługo nakładem E. Kuthana. Zwracamy uwagę na pojawiające się utwory o tematyce chłopskiej. Powieść tego typu przygotowuje do druku szczęśliwie debiutujący przed wojną w „Prosto za mostem“ J. Tomczyk. Firmą E. Kuthana wydała studium A. Krzyżanowskiego „Wiek dwudziesty“. Nakładem Księgarni „Jedność“ w Kielcach ukazały się J. E. Ks. Biskupa Kaczmarka „Podstawy życia rodzinnego“. Wydawnictwo „Nowe Horyzonty“ (Przemyśl) wydało Katalog Poczty Obozowej w Murnau — ciekawy zbiór reprodukcji znaczków pocztowych, fabrykowanych przez jeńców oficerów w obozie w Murnau. Szkoda, że jednocześnie nie został wydany o wiele większy zbiór reprodukcji znaczków zrobionych w oflagu w Waldenbergu.

Poza tym otrzymaliśmy: „Ks. St. Biskupskiego „Męczeńskie biskupstwo ks. Michała Korala“ (nakł. Sem. Duch. we Włocławku) — studium życia zamordowanego przez Niemców w Dachau biskupa-sufragana włocławskiego, napisane przez towarzysza życia obozowego. Poprzednio książka napisana po francusku wyszła w Paryżu, Jerzego Brauna „Ballada o Warszawie. K. Małczyńskiego „Polska i Pomorze Zach. w walce z Niemcami“ (wyd. Inst. Bałtyckiego), K. W. Zawodnińskiego „Rzut oka na literaturę polską 1945 r.“ (wyd. Z. Z. L. P. w Poznaniu).

DZIEŁO KARMELITÓW

KARME LIC I — najpotężniejszy zakon kontemplacyjny — nie przerywający na chwilę swej mrówczej pracy wydawniczej. Podjęte przed wojną dzieło tłumaczenia i wydania dzieł najmądrzejszej kobiety świata, doktora kościoła, św. Teresy di Ahumade z Avili, dobiega końca. Wydane zostały kolejno „Życie“ — wstrząsające studium autobiograficzne — przewyższające głębią — choć jakże inne niż wspaniałe „Dzieje Duszy“, imienniczki wielkiej Hiszpanki św. Teresy Martin; dalej „Księga Fundacyj“, „Droga doskonałości“, „Podniety miłości Bożej“ i „Twierdze wewnętrzne“. Pozostają do wydania tylko jeszcze „Listy“. Wobec wyczerpania już przed wojną dzieł miśtycznych św. Jana od Krzyża, przystąpił Karmelici do nowego, lepszego (poprzedni był nieszczególny) przekładu. W handlu jest jeszcze IV tom, obejmujący „Żywy płomień miłości“, przestrogi, listy i poezje. Wydane zostały także dwa doskonałe wprowadzenia w piśmie św. Jana od Krzyża i w piśmie św. Teresy pióra O. Gabriela od św. Marii Magdaleny, profesora teologii życia wewn., oraz popularny ilustrowany żywot św. Jana od Krzyża.

K. I. GAŁCZYŃSKI

WIERSZE

Wyd. Oficyny Księgarskiej

MIEJSCEM stałych spotkań najpoważniejszych obywateli naszego miasta, ja krównie przyjezdnych ziemian, młynarzy czy też urzędników prowincjonalnych była restauracja Chomińskiego. Kierownik szkoły, pan Rząddek nazwał ją „gospodą Chomika“. Tam skierowałem pierwsze moje kroki.

Mieściła się ona drzwi w drzwi naprzeciw dworca kolejowego w bardzo starym i napół zrujnowanym żółtym domu drewnianym o wysokim dachu obitym czarną papą i zakończonym ogromnym kominem. Składała się z bufetu i z dwóch sporych pokoi, przeznaczonych dla lepszej publiczności, a od czasu kapitulacji Warszawy głównie dla Niemców, oraz ich interesantów. Myśmy zbierali się w bufecie. Zastałem tam już niemal wszystkich przyjaciół z burmistrzem Korkowskim i kierownikiem Rządkiem na czele. Siedzieli w milczeniu. Na mój widok zaczęli kiwać ostrzegawczo głowami, wskazując oczami drzwi do następnego pokoju. Wetknąłem głowę. Siedziało tam przy wodce tylko dwóch Niemców: komendant żandarmów Schwick i aptekarz, a zarazem dyrektor fabryki, Winter.

Rząddek chwycił mnie za ramię swoją potężną łapą i przyciągnął do siebie.

— Co słychać? Gadaj wszystko co wiesz.

Był to łysawy olbrzym o kończynach przynajmniej trzy razy grubszych, niż u zwyczajnego człowieka. Odnaczał się tak niepospolitą siłą, że nieraz chwycił za kolarzów dorosłego mężczyznę i unosił w górę jak kociaka. Nie byłam z nim bynajmniej na ty, ale Rząddek miał zwyczaj tykania każdego, nawet własnych zwierzchników. Czinił to zresztą w taki naturalny sposób, że nikogo nie obrażało. Coprawda to i trudno obrazić się na kogoś, kto ma przeszło dwa metry wzrostu i chyba ze dwieście kilo wagi.

— Dopiero wyszedłem z domu, żeby się czego dowiedzieć.

Kierownik rzucił okiem w stronę niebezpiecznych drzwi, przyciągnął mnie silnie ku sobie, aż moje ucho znalazło się przy jego wargach i zamruczał gęstym basem:

— Wiesz, że na miejsce Zemana naznaczono kierownika arbatzantu z Groszkowa, Mohna?

— Nie, bo co?

— To, że wczoraj po południu już go nasi chłopcy rąbnęli, kiedy wsiadał do auta, żeby zaszczyć swoją osobą nasze miasto. Wobec tego obowiązki po Zemanie objął tymczasowo jego dawny zastępca Krank, który zresztą siedzi za biurkiem i niczego się nie tknie. Poza tym arbatzamt otoczony jest przez uzbrojonych folksdojczów, którzy nikogo tam nie wpuszczają.

Chomiński wysunął naprzód zwinie w trąbkę wargi spod swych wielkich czarnych wąsów i przytknął do nich palec. Rozległy się ciężkie głośnie kroki, i do bufetu wkroczyli jeden za drugim komendant Schwick i aptekarz Winter. Na nasz widok unieśli od łokcia w górę niezadarnie rozczapierzone dłonie.

— Heitla!

Jeden tylko Chomiński kiwnął w odpowiedzi swoją wygoloną głową.

Obaj garubasy stanęli przed nami na szeroko rozkraczonych nogach. Patrzyli na nas jakoby przychylnie i niby to z przyjaznym uśmiechem. Winter był błady. Oczy miał przekrwione a tłuste policzki obwisłe. Widocznie nie spał dobrze podczas ostatnich nocy po otrzymaniu wyroku śmierci. Komendant był potężny, czerwony i świecący od potu, jak zwykle.

— Nanu, głupie chłopaki, co wy wyprawiote? Wozz głupi Beck narobił wom nieszczęścia, a wy chcecie jeszcze większego, nie?

Chomiński zwrócił się doż z udanym oburzeniem.

— Panie komendancie, przecie pan komendant zna tu nas wszystkich, że jesteśmy spokojni obywatele. Czy możemy odpowiadać za przestępstwa Żydów i bolszewickich desanciarzy?

Kierownik łypnął w jego stronę jednym okiem, Schwick spoważniał natychmiast i dodał sucho:

— Jo, jo, my wiemy wszystko, kto winien, a kto niewinien. A Żydów i komunistów tyż potrafimy uspokoić.

Winter ożywił się i potoczył noś nas niepewnie swymi przekrwionymi oczami.

Stanisław Rembek

Wyrok na Fran-

— Tak, Polacy to dobry naród — wykrzyknął z zapalem — tylko strasznie głupi. To jest naród wiecznych marzycieli. Czego się wy jeszcze spodziewacie? Na co wy jeszcze czekacie? Wasz Mościcki, wasz Beck, wasz Smigły Rydz oklamywali was tyle czasu, a wkońcu was sprzedali. Anglia też was oszukała. Teraz liczyć na Sowiety?...

— Kto liczy na Sowiety? — oburzył się Chomiński.

— No, wy tutaj może nie, ale jest wielu takich, którzy liczą. My wiemy wszystko. Wiemy, że dziesiątki i setki tysięcy Żydów ukrywa się wśród Polaków.

— My Żydów nie ukrywamy — znowu wyrwał się Chomiński.

— Ja wiem, ale powinniście współdziałać z nami, żeby ich unieszkodliwić. Przecież to jest dla waszego dobra.

— Wiemy, że tylko Niemcy dbają o nasze dobro — zahuczał kierownik Rząddek, z tak źle maskowanym szyderstwem, że Schwick zaczął mu się bacznie przypatrywać. Winter również zerknął nań złowieszczo i rzekł:

— Ja właściwie nie jestem Niemcem. Czuję się Polakiem. Znać mnie tu wszyscy od dziecka. Tak samo pan komendant jest polskiego pochodzenia...

Schwick zaczął kiwać zamazyście głową, aż mu zafalowały obwisłe policzki.

— Jo, jo, mój fater był Polak, ino matka Niemka.

— Ale przecie musimy zdać sobie sprawę, że przegraliśmy wojnę i wyciągnąć z tego wszystkiego konsekwencje, jak na przykład Cześć.

— I jakież to konsekwencje? — znowu zamruczał kierownik Rząddek.

— Przede wszystkim zacząć inaczej wychowywać młodzież, w kierunku poszanowania porządku i prawa.

— Aha.

Winter rzucił na olbrzymia badawcze i jakby bojaźliwe spojrzenie.

— Ja wiem, panie Rząddek, o co panu chodzi.

— Kiedy mnie o nic nie chodzi.

— Wiem i możemy o tym mówić otwarcie. Polakom też się dzieje krzywda i bezprawie. Wiemy o tym dobrze wszyscy. Ale kto temu winien? Sami Polacy. Żeby nie te setki i tysiące donosów, jakie przychodzą do naszych władz właśnie od Polaków, o ileż mniej byłoby aresztowań, może nawet nie zawsze słusznych. Nieprawda, panie komendancie?

— Jo, jo.

W tej chwili brzęknęły szklane drzwi i do bufetu wsunął się Kłos. Na widok Niemców i nas zatrzymał się w progu, stanął na baczność i podniósł rękę do daszki. Nikt na niego nie zwrócił uwagi, stał więc ciągle w tej postawie, chwycając się, błady, o zamglonych oczach, z niepewnym uśmiechem na wąskich wargach.

NASZA ANKIETA

Walcicie o sprawę kobiety.

Szanowny Panie Redaktorze!

Przeczytałam numer Wasz i zachęcona sympatycznym odezwaniem się pisma do tych, co do Was piszą — piszę.

Wasze pismo czytam zawsze od deski do deski. Dlaczego?

Bo jest w nim, poza wielu interesującymi artykułami, klimat, atmosfera, w której odpoczywa człowiek, czytający prasę codzienną — wypogadza się czoło — do serca napływa fala optymizmu; a jednak pomimo wszystko, wbrew wszystkiemu, w Polsce będzie dobrze.

Z otwieranego numeru bije Wasza młodość, Wasz radykalizm, Wasza bojowość i tym jesteście tacy sympatyczni.

I jeszcze coś. U podstaw Waszego stosunku do wszystkich spraw — u podstaw Waszej metody, stoi wyraźnie 10 przykazań, a zwłaszcza 5-te i 8-me.

Jest sprawa, w Waszym piśmie nigdy nie poruszana, a b. ważna, to sprawa kobiety.

Nie tej co pracuje zawodowo, społecznie czy politycznie, ale tej, co stoi u podstaw na straży rodziny. — kobiety rodzinnej.

— Jeśli chodzi o żandarmów, to muszą robić to, co im każą. Nikt do nich o to pretensji mieć nie może. Zdarzają się, co prawda, wśród nich dranie, jak taki Kranc, ale o ile więcej gorszych łotrów znajdziecie wśród polskich policjantów. Taki Kłos.

— Jo, jo! — kiwał głową Schwick.

W tej chwili Winter odwrócił się w stronę drzwi i ujrzał salutującego ciągle Franka.

— No, Korkowski, dawaj kolejkę dla wszystkich. Strzemiennego, albo lepiej nasze staropolskie „Kochajmy się“. Muszę już uciekać do fabryki, bo mam wyplatę.

Korkowski spojrzął z przestrachem na kierownika, który już otwierał usta, aby odmówić przyjęcia poczęstunku.

— Nie, nie, teraz ja postawię.

Po wyjściu obu Niemców kierownik zerwał się z krzesła i wziął się pod boki. Zdawało się nam, że góra naraz wyrosła przed naszymi oczami.

— A co, napędzili im nasi chłopcy pletra? Zobaczycie, że po wojnie nie będzie na świecie ani jednego prawdziwego Niemca. Każdy wynajdzie sobie jaką babkę-Polkę, albo prababkę-Żydówkę. Franku, otwórz-no trochę drzwi, niech się po tej teutońskiej cykorii wywietrzy.

Kłos pośpiesznie wykonał rozkaz. Kierownik Rząddek był jego nauczycielem jeszcze w szkole powszechnej.

— Ale pan kierownik to też mógłby się trochę liczyć ze słowami! — wtrącił Chomiński z wyrzutem. — Już po tym, co pan dzisiaj wygadywał, na pewno pana sobie dobrze zakonotowali. Uważałem, jak ślepieli za każdym pańskim słowem. W ten sposób narobi pan nieszczęścia nie tylko sobie, ale i innym.

Kierownik zerwał się zaperzony, aż mu nie tylko policzki, ale i łysina poczerwieniała, a oczy się zaświeciły. W przeciwieństwie do ogółu ludzi nadmiernego wzrostu, którzy są zwykle łagodni i flegmatyczni, był on pasjonatem. Oczywiście, jego gniew budził zawsze przerażenie.

— Co mi tu będziesz, kauzyperdo, dawaj jakieś nauki. Jeszcze tylko tego potrzeba.

Chomiński zrejetrował za szklaną szafkę z zakaskami na bufecie.

— Co kierownik? Czego kierownik ode mnie chce? Nawet słowa powiedzieć nie wolno. Przecie ja dla dobra kierownika...

— Śmierdził mi twoje tchórzostwo. Rozumiesz? I to ci powiem, że nie uratuje cię ono od stryczka, ani od kuli. Wystugujesz się Szkopom, służyż im na dwóch łapach, jak marny pułk, ale to ci nic nie pomoże, tak jak nie pomogło głupiemu Frankowi Kłosowi. Słyszałeś, jak jego komendant z tym drugim szpiclem, Winterem, odżegnywali się od niego, byle tylko własną skórę uratować. I to ci jeszcze powiem, że zanim cię jeszcze zdąży Szwaby rozwalić, dostaniesz w czapkę

W prasie codziennej coraz więcej się o niej mówi, ale wszystko co się o tym mówi, wszystkie projekty zorganizowania życia kobiety w rodzinie — raczej dążą do umniejszenia jej roli, odsuwa od jej zadań.

To wielkie niebezpieczeństwo. Samodzielnie wychowałam sześcioro dzieci, jestem typową kobietą rodzinną — przemyślałam tę sprawę. Dużo byłoby mówić. Kobieta rodzinna jest dziś elementem centralnym — ma odbudować człowieka.

Odbudowa. O tym się ciągle mówi. Jest specjalny urząd planowania. Wszystkich się wzywa do wzięcia udziału w odbudowie zniszczonej Polski.

Człowieka w Polsce odbudować — to zadanie wyłącznie kobiety rodzinnej.

O tym w jaki sposób stworzyć jej warunki i możliwości, w których wychowa zdrowych fizycznie i duchowo obywateli, pisać powinna przede wszystkim prasa katolicka.

Pomyślcie o tym i Wy.

Serdecznie pozdrawiam i życzę na ten Nowy Rok pracy pełnego powodzenia.

Anna Daszewska
Dzierżoniów — Dolny Śląsk

ciszka Kłosa (6)

Powieść z roku 1943.

od naszych chłopaków za wystugiwanie się wrogom ojczyzny. Tak jak Franek, a nawet może jeszcze wcześniej.

Chomiński wyciągnął do nas ręce gestem, budzącym litość.

— Ja się wystuguje Niemcom? Trzy razy zwracali się do mnie, żebym nalepił „Nur für Deutsche“. Grozili mi odebraniem koncesji. Raz nawet sam landshofmistrz wezwał mnie do siebie. Potem żądali, żebym chociaż na szafce z piwem umieścił taki napis. Nie zgodziłem się. I teraz spotyka mnie taki zarzut! Mnie?

— Ale stawiasz żandarmom i gestapowcom.

— Niech bym spróbował nie postawić. Niech Kłosa powie.

— To też będziesz dyndał za zdrowie Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. W Warszawie dawno by cię już wykończyli. W Warszawie żaden fotograf nie wystawi fotografii niemieckich, bo mu rozwał kamieniami szyby wystawowe.

— Co innego Warszawa, a co innego Brodnia.

— Nie co innego. Polak jest Polakiem, a niemiecki fagas niemieckim fagasem. A Kłosem się nie zastanawiaj, bo z niego właśnie możesz brać przykład, jak się wychodzi na fagasowaniu Niemcom. Prawda to Franek, że ci przystali wyrok śmierci?

— Kłosa roześmiał się przymilnie swoim przykrym uśmiechem, aż mu zajaśniały w ciemnej twarzy zdrowe, długie zęby.

— Tak jest, panie kierowniku.

— Ale własnych rodaków mordujesz w dalszym ciągu?

— Ja Polakom krzywdy nie robię, tylko Żydom.

— Ci Żydzi są lepszymi obywatelami od ciebie. Walusiak, co go wypatroszył, nie był zresztą pochodzenia żydowskiego. W każdym bądź razie, dopóki cię nie stukną, bądź łaskaw nikomu nie wspominać, żeś był moim uczniem. Nie przynosisz mi chluby.

Kłosa spoważniał i stropił się widocznie.

— Nie stukną mnie, bo by Niemcy rozstrzelali za mnie pięćdziesięciu Polaków.

W oczach zamigotały mu mściwe błyski.

— Nie bądź tylko taki pewny swoich opiekunów, że tak będą rozpaczali po twojej stracie.

W tej chwili poprzez otwarte drzwi doszły nas trzy odgłosy niedalekich wystrzałów. Kłosa cofnął się za bufet, odpinając błyskawicznym ruchem pochwę od rewolweru. Widziałem, że zbladł jeszcze bardziej, choć wydawało się to już niemożliwe.

Burmistrz Korkowski wyskoczył na ulicę. Był to człowiek niski i bardzo nerwowy.

Wystrzały w czasie okupacji były u nas czymś zwyczajnym, Niemcy bowiem ciągle polowali w okolicach, nawet na wrony i wróble. Poza tym lubili strzelać po prostu dla przyjemności. Oprócz tego

po policjanci kolejowi, zwani „czarnymi“, strzelali ciągle do chłopców, kradnących węgiel, którego zasadniczo Polakom nie wydawano zupełnie. Kradzież z transportów kolejowych była jedynym środkiem zaopatrywania się dla nas w paliwo. Złodzieje kolejowi stali się w ten sposób nieodzowną częścią społeczeństwa. W tym jednak wypadku wystrzały za brzmiały w sposób szczególnie niezwykły, a poza tym byliśmy wszyscy przygotowani na najgorsze.

Burmistrz Korkowski stał na ulicy i wołał do nas przez otwarte drzwi.

— To tak, jakby w fabryce chemicznej! Ludzie idą stamtąd, a nawet biegną! Coś się musiało stać!

Kierownik Rząddek, który już się był uspokoił i rozwalił na małym w stosunku do jego*figury krzeselku, mruknął gestem basem:

— Korkowski, włącz do środka i zamknij drzwi na wszelki wypadek.

Burmistrz posłuchał natychmiast. Ale w tej chwili brzękły szyby i ukazał się ojciec Kłosa, mały, z wielkimi czarnymi wąsami i w granatowej maciejówce na głowie.

— Wiecie, co się stało?

— No?

— Zabili Wintera.

— Niemożliwe! Przed chwilą był tu razem z nami.

— To nic nie znaczy. Idę stamtąd właśnie.

— Skąd?

— Z fabryki.

— I jak to się stało?

— Wiem dobrze, bo mi opowiadał dokładnie Kordulak, który, jak wiecie, teraz tam pracuje. Był przy tym przez cały czas. Winter przyszedł trochę pod muchą, żeby wypłacać tygodniówkę i rozdawać przydziały. Stał już tam oddawna ogonek aż do Fabrycznej. Pod fabryką stało dwóch folksdojczyerów z karabinami. To samo przed kantorem. W samym kantorze przy drzwiach stał jeden, młody Krygier. Oprócz tego przy stole obok Wintera było trzech z rewolwerami. Naraz wlało dwóch jakichś nieznanym gości w cyklistówkach, w długich butach. „Czy jest pan Winter?“ Winter wrzasnął: „Co do cholery! Włażcie jak do chlewa! Skończyły się polskie porządki!“ — „Kiedy my mamy do pana specjalny interes.“ — „To chociaż czapki ze sobą zdejmijcie! Co za interes?“ — „Pan jest Winter?“ — „No, ja! Tylko nie: Winter a pan Winter!“ Wtedy jeden z nich, taki mały, krępy wyciągnął spulwę. Tach, trach, trach! Drugi tymczasem sięgnął do kieszeni i rozejrzył się do koła. Wszyscy struchleli. Winter oparł się oburącz o biurko i zwał się pod nie. Ten mały powiódł jeszcze łufą wokoło, powiedział: „Dowiedzenia!“ i wyszedł razem z towarzyszem. Nikt ich nie zatrzymał.

Wszystcyśmy już stali, poruszeni nowiną. W tej chwili Franek Kłosa wylał z

dą piękna — jeśli nadal będzie kobietą odarta ze wszelkiej piękna, którą ją zdobiło. Piękną kobietą jest — gdy skroń jej oplata wieniec czystości! Maszka maquillage'u szpici ją tylko, a nagość stworzyć innego łożyska dla nurtu życia; upadła.

Kwestia rodziny nie może być rozwiązana na papierze i w teorii. Pan Majdan stał na głowie, aby nurt życia skierować inaczej, ale on nie zdolny jest stworzyć innego łożyska dla nurtu życia bez praktycznego rozwiązania potrzeb i praw licznych rodzin przez państwo. Można całe morze atramentu zmarnować, pisząc rady teoretyczne na ten temat.

Jeśli Warszawa będzie trwała w tym stanie jak dziś — jeszcze lat kilka, to kwestia rodziny będzie zupełnie pogrzebana, a przyjdzie jeszcze ogień i siarka z nieba, aby zniszczyć resztę pozostałości Warszawy.

Nie widzę perspektywy dla Warszawy, bo nie widzę w niej żadnej perspektywy dla rodzin.

Rozwiążność, zwyrodnienie, i już nie; spoganiecie, lecz szatański kierunek, szalający w Warszawie, przyczyni się do trzęsiej i ostatniej katastrofy Warszawy.

Pozdrowienia i życzenia owocnej pracy łączę

Dr. Połubńska
Otwock

kąta i zbliżył się do Chomińskiego.

— Czerdziesiątkę — powiedział zdławionym głosem.

Chomiński podał mu butelkę. Franek stuknął nią o podłogę, aż wyskoczył korek, potem podszedł do obitej blachą lodówki z piwem, na której stały wysokie szklanki, wziął jedną z nich i wylał do niej całą zawartość odkorkowanej ćwiartki litra. Potem zaczął pić jak wodę, przechyliwszy głowę w tył i przymknąwszy zażawione oczy.

Jego ojciec dopiero teraz go zauważył. Odwrócił się doń plecami i zaczął skrecać papierosa z machorki. Szło mu to nie- sporo, bo ręce mu drżały.

XI.

Pogrzeb Wintera odbył się z niezwykłą wspaniałością. Wzięły w nim udział wszystkie organizacje niemieckie z Brodni i okolic, a przede wszystkim S. A. Musieli też przybyć robotnicy oraz pracownicy obu naszych fabryk, mleczarni, magistratu i wogóle wszelkich instytucyj, będących pod zarządkiem niemieckim. Wyludnione miasto obsadzone zostało gęsto przez posterunki żandarmów i policji granatowej. Zatrzymywano wszystkie pojazdy, a nawet pociągi kolejki elektrycznej.

Wszyscy truchleliśmy bardziej jeszcze, niż po zabójstwie Zemana, Winter bowiem był od niego o wiele większą figurą. Oprócz stanowiska dyrektora jednej z naszych fabryk, był on jeszcze kierownikiem propagandy na cały powiat Brodnia — Lemieszów, utworzony przez Niemców z dwóch dawnych, przedwojennych powiatów. Co prawda, kierownik Rząddek, jak również burmistrz Korkowski, pokpiwali sobie z tej godności.

Każdy pismak z warszawskiego szmalcawca — tak nazywaliśmy wydawany przez Niemców w języku polskim „Nowy Kurier Warszawski“ — ma tysiąc razy większe znaczenie i tysięcy razy więcej szkody nam przynosi — mawiał kierownik swym basem, machając niemniej potężną łapą. — Wielka mi propaganda w jakiejś Pipidówce, czy w Grajdołku!

By może, że była to prawda. Nawet na pewno. Ale równie pewne jest, że Wintera działalność propagandowa wywołała większą jeszcze ku niemu nienawiść, niż typowo niemiecka brutalność, jaką stosował do robotników. I to ona najprawdopodobniej stała się przyczyną jego śmierci. Dyskutowaliśmy na ten temat wielokrotnie. Polacy na ogół bardziej są wrażliwi na to, co się o nich mówi, czy pisze, niż na to, jak się ich traktuje.

Winter, jak zresztą większość propagandystów niemieckich, o propagandzie wiedział tylko tyle, że w dążeniu do swych celów nie potrzebuje ona liczyć się z prawdą. Ale kiedy kłamać i w jakim stopniu? Oczywiście, jak najczęściej i jak najwięcej.

Taką zasadę przyjął Winter, gdy zaraz po kapitulacji Warszawy w 1939 roku, polecono mu prowadzić „pogadanki krajoznawcze“ dla żołnierzy, żandarmów i urzędników niemieckich. Opowiadał na nich o odwiecznej niemieckości naszej Brodni, którą Polacy polonizowali w sposób niesłychanie brutalny i okrutny. Za mówienie po niemiecku istniała jakoby kara przybicia języka gwoździem do stołu. Największe nasilenie teroru miało nastąpić w czasie ostatniego półroczna przed wybuchem wojny. Polacy mieli wymordować wtedy na terenie samej tylko Brodni 1460 miejscowych Niemców. Innych liczb, dotyczących okrucieństw polskich na terenie obu powiatów, już nie pamiętam, były one jednak niemniej szczegółowe w myśl zaleceń Goebbelsa, który przestrzegał przed używaniem w tego rodzaju propagandzie cyfr zaokrąglonych.

Obecni na pogadankach folksdojczy skwapliwie przyświadczały tym wywodom, wyjaśniały one bowiem okoliczność, mogącą wywołać zdumienie ich „rodaków“ z Rzeszy, iż częstokroć zupełnie nie władali językiem „ojczystym“. Wywoływało to takie skutki, że nieraz wzburzonych słuchaczy ogarniał „szał teutoński“. Wybiegali oni wtedy z sali wykładowej na miasto bijąc, często na śmierć, napatykanych przechodniów bez różnicy pici i wieku.

Tydzień kulturalny

DARWIN, MAŁPY I „KUŹNICA“.

HUMORYSTYCZNE wywody dr Podkowański („Człowiek w czasach przedhistorycznych“) spotkały się z ostrą krytyką ze strony prof. Kostrzewskiego („Życie Szkoły“). Prof. Kostrzewski poddał naiwną książkę dr Podkowańskiej szczegółowej analizie i wytknął w niej tysiące najzwyklej niepoważnych stwierdzeń.

Z punktu widzenia katolickiego nie chodzi o atakowanie darwinizmu, który wciąż pozostaje poważną hipotezą naukową, czemu dał wyraz rektor KUL ks. prof. Słomkowski w broszurze „Pochodzenie człowieka w świetle nauki Kościoła i w świetle teorii ewolucyj“. Ba, w doskonałej książeczce p. t. „Światła tajemnic“, opatrzonej imprimatur pisze S. Jeleński (jeden z Polaków świeckich, który ukończył Angelicum), że nawet samorządztwo (st. 22) mogłoby być przyjęte, gdyby się założyło, że to Bóg włożył w materię martwą moc przemienienia się w materię żywą. Humorystyczne wywody Podkowańskiej są jednak szkodliwe, bo zmieniają hipotezę w dogmat. Takim samym zresztą dogmatyzmem pachnie notażka w Nr 49 „Kuźnicy“, w której z radością cytuje się zdanie prof. Dembowskiego, że „człowiek pochodzi od zwierzęcia... to nie może być kwestionowane“. Tymczasem w broszurze Wł. Michajłowa (tłumaczona z rosyjskiego?) pt. „Rozwój świata organicznego“ (wyd. Państw. Zakł. Wyd. Szkol.) znajdujemy zdania: „Teorię Haeckla (rozwiniecie teorii ewolucji) traktujemy obecnie z pewną ośrtożnością, uważając, że podobieństwo zarodków może być spowodowane innymi okolicznościami... Oczywiście... teoria (Darwina) posiada i słabe strony...“. Autor chociaż omawia szczegółowo i przede wszystkim ewolucjonizm, nie traktuje go inaczej, jak dobrze umotywowaną hipotezę. Jednocześnie omawia także inne teorie jako równorzędne, np. teorię mutacji de Vriessa.

Więc czy teoria ewolucjonizmu może być kwestionowana czy też nie? Zdaniem „Kuźnicy“ — zdaje się — nie. Rozumiemy: kto nie ma innych dogmatów dla tego byle hipoteza staje się dogmatem.

DZIWNA HISTORIA.

STATNIO przeświełny Zrząd Miejski w Warszawie odmówił kart żywnościowych członkom Związku Zawodowego Muzyków, którzy nie mogą się wykazać dowodem stałego zatrudnienia. Sprawa wygląda bardzo dziwnie. Wiadomo, że większość członków Związku pracuje dorywczo. Ale ostatecznie stałe nie są zatrudnieni członkowie żadnego związku artystycznego. Na tym polega istota ich zawodu. Więc dlaczego odbiera się karty muzykom? Czyż by to miał być początek?

Także Polskie Radio nie udziela ulg w abonamencie członkom Związku Zawodowego Muzyków, którzy nie posiadają stałego zatrudnienia. Jeszcze lepiej! Przewidujemy, że chodzi o to, aby wreszcie przestali być muzykami. Bo jeśli tracą kontakt z jedyną dostępną dla nich formą muzyki, w końcu, chcąc nie chcąc, zostaną — urzędnikami w magistracie...

Najciekawsza książka 1946 ROKU

Termin odpowiedzi na ankietę
31 stycznia 1947 r.

Szanowny Panie Redaktorze!
Zachęcona wezwaniem jubileuszowego numeru „Dziś i Jutro“ piszę!

Trzy są niezbędne zasady w przeprowadzeniu planu odbudowy ducha kultury katolickiej:

1. Skierowanie emancypacji kobiet na tory wcielenia kultury katolickiej w tę emancypację.

2. Praktyczne ujęcie kwestii rodziny katolickiej.

3. Radykalne przecięcie wrzodu wszelkiego rodzaju nieuczciwości w życiu społecznym, gospodarczym i politycznym.

Nie wiem, czy ktokolwiek zastanawia się nad sprawą wychowania kobiety — Równouprawnienie otworzyło jej bramę nieograniczonych swobód. Korzysta ze swobód, jak szaleniec i leży plackiem w prochu.

Odbiegła od praw natury i od praw Bożych (mimo, że się uważa za katoliczkę), gdzie jest harmonia, gdzie jest piękno, gdzie jest kobiecość u dzisiejszych dziewcząt?

Dziewięć jest dla dzisiejszych dziewcząt przeżytkiem, który one traktują pogardliwie.

Kobieta dzisiejsza jest taką, jaką ją chce widzieć dzisiejszy mężczyzna!!!
Zgaszono piękno kobiety, zabito w niej serce, a w konsekwencji wygasa piękno życia. Malarze, artyści, poeci nie znaj-

Jadwiga Wilczańska

PRAWDA O RAVENSBRUCK

Poświęcam Komisji do Badania Zbrodni Niemieckich, dziękując jednocześnie za współpracę koleżankę więzienną obozową Leokadii Kwiecińskiej z Lublina.

Jadwiga Wilczańska

Prasa dotychczas bardzo często wymieniała różne obozy jako miejsca, w których niepodzielnie panowała śmierć: Majdanek, Oświęcim, Treblinka, Dachau — oto te miejsca kaźni, które były znane każdemu. Dzisiaj, w dniach rozpoczętego procesu morderców niemieckich z obozu w Ravensbrück, przychodzi moment na przedstawienie tych oryginalnych i autentycznych danych, które dotyczą miejsca kaźni tysięcy kobiet różnych narodowości. W obozie koncentracyjnym w Ravensbrück było przez czas istnienia obozu ponad 60.000 (sześćdziesiąt tysięcy) Polek na ogólną liczbę więźniarek tego obozu, przekraczającą 108.000 (sto osiem tysięcy).

Na proces katów z Ravensbrück wyjeżdża z Polski kilka Polek, mających świadczyć przeciw mordercom. Okaleczają w „medycznych” doświadczeniach, okażają swoje rany międzynarodowemu kompletowi sędziowskiemu. Nie one jednak mają możność przedstawić całość zagadnienia mordowni w Ravensbrück. Będą za ledwie świadkami części tych spraw, które są oskarżeniem elity niemieckiej. Ich świadectwo przyczyni się za ledwie do wypuklenia tych specjalnych punktów, które są w stanie przemówić do uczucia sędziów, operujących paragrafami prawa karnego. Nie o uczucie tu jednak chodzi. Chodzi o **sprawiedliwość**. O tę sprawiedliwość, która nie gardzi całą prawdą obrazu katowni w Ravensbrück.

Ravensbrück był miejscem zagłady tysięcy kobiet, zwięzionych tam z całej Europy. Rzecz szczególnie, że największe nasilenie zbrodniczości datuje się na początek roku 1945.

Krematoria wzmagają swą działalność, buduje się na gwałt kamery gazowe, aby usprawnić technikę śmierci. W ostatniej prawie chwili, cofając się przed napierającymi armiami zwycięzców, jeszcze strzela się do więźniów i jeńców.

Pisząc o Ravensbrück trzeba nadmienić, że był to obóz reprezentacyjny. Znać, czy to, że na zewnątrz zachowane były wszelkie pozory, że stworzony został po to, aby służyć za miejsce odosobnienia dla tych wszystkich, których reżim uważa za element z różnych względów szkody. Należy go przeto „przeszkolić” i urobić na obywateli jeśli nie „pełnowartościowych”, to przynajmniej „lojalnych” i uległych porządkowi. Z właściwym sobie zmysłem organizacyjnym puszczono w ruch wszystkie tryby potwornej maszyny, które systematycznie i pewnie przez parę lat dokonywały wielkiego dzieła zniszczenia pod osłoną całkowitej legalności i w imię koniecznego porządku.

Początkowo nie wykonywano w obozie Ravensbrück egzekucji. Więźniarki, zwłaszcza Polki, pracowały bardzo ciężko, ale przetrwanie tego okresu zależało wyłącznie od wytrzymałości fizycznej. Nie było to łatwe, jeśli się zważy na głód (paczek jeszcze nie wolno było otrzymać) i ostre zimno. W tym okresie jednak nie wisiała nad obozem groza bezpośredniej śmierci. Wprawdzie w jesieni 1941 roku było kilka małych transportów, których miejsca przeznaczenia nie można było ustalić, jednak daleką jeszcze była myśl, że mogły to być egzekucje. Utrać się w obozie określenie „transport w nieznane”. Stopniowo określenie to nabrało właściwego znaczenia.

W styczniu 1942 roku wywieziono 11 kobiet z transportu warszawskiego (22.IX.41 r.: Danielewicz Elżbieta, Derecka Hanna, Kwiecińska Zofia, Kierzkowska Mieczysława, Kauczew Halina, Czyżewska Halina, Żukowska Kamilla, Krupska Władysława, Wawer Marianna, Rywczak Helena, Tokarska Maria), na Pawiak i jak później dowiedzieliśmy się zostały one 25.V.42 r. rozstrzelane w Pałmlich wraz z dwiema „Pawiaczkami”, wywiezionymi z Ravensbrück 18.IV.42 r. (Wanda Krakowska i Skowrońska Władysława) oraz z 9-ma innymi z Pawiaka.

Tegoż miesiąca wywieziono na straconie około tysiąca kobiet starych i niezdolnych. Było to jedno z ogniw ogromnego łańcucha wyniszczenia ludzi, których Niemcy uważali za niepotrzebnych i nieproduktywnych ze względu na wiek lub niezdolnych do ciężkiej pracy fizycznej. Przeszło miesiąc później odszedł w „nieznane” transport kobiet nienormalnych. Ich zaburzenia umysłowe i psychiczne nastąpiły wskutek przeżyć wojennych lub okrutnych metod śledztwa i badań.

Przy końcu zimy 1941 roku i na wiosnę 1942 roku wywieziono na śmierć wszystkie znajdujące się w obozie żydówki (około 2.000).

13 kwietnia 1942 r. rozstrzelano 15 Polek z transportu częstochowsko-radomskiego. 18 kwietnia 1942 r. rozstrzelano 13 Polek z transportu lubelskiego (21.IX.1941 r. — Apćić Maria, Chrostowska Apolonia, Chrostowska Grażyna, Sekćić Romana, Dobrowolska Maria, Adamiak Eugenia, Waśniowska Maria, Mućiek Maria, Radecka Emilia, Żytek Regina, Grabska Zofia, Wersocka Józefa, Bahnowa Kazimiera).

Otdąd więźniarki w Ravensbrück uświadomiły już sobie wyraźną wiszącą nad nimi groźbę śmierci.

31 maja 1942 r. przywieziona transport przeszło 400 kobiet z Warszawy i Lublina i znów wkrótce szereg z nich wzięto na egzekucję. Transporty warszawskie dawały największy, bo wynoszący około 70%, haracz na rzecz śmielcy. Z transportu wrzesniowego 1941 r. rozstrzelano co czwartą. Egzekucje trwały bez przerwy co kilka dni lub tygodni. Rok 1944 przynosił pod tym względem pewne odprężenie. Ostatnią egzekucję wykonano 5 stycznia 1945 roku. Zginęły wtedy: Wohlfart Halina, Wilgoć Jadwiga, Sokolowska Irena, Lipińska Zofia, (adw. Szulc Zofia) i Remiszewska. Egzekucje odbywały się za obrębem obozu w czasie wieczornego apelu. Cały obóz słyszał salwy plutonu egzekucyjnego. Wyjątek stanowiły ostatnia wyżej wymieniona piątka, gdzie skazane zostały powieszona.

Nie miałam, niestety, możliwości zanotowania i przechowania pełnych list rozstrzelanych wszystkich Polek. Interesowały mnie przede wszystkim transporty warszawsko-lubelskie i z tych mogę podać następujące dane:

7 lipiec 1942 r. — Pałkowska Ewa, Kisielska Kazimiera, Lenart Genowefa, Pacocho i Wilamowska Maria.

16 lipiec 1942 r. — Czech Stanisława, Kęszycza Józefa, Jędrzejczak Janina, Niemirycz Krystyna, Pałuszek Józefa.

17 lipiec 1942 r. — Staniszewska Halina, Ćwiek Rozalia, Abramek Janina.

17 wrzesień 1942 r. — Grzesiak Zofia, Paczkowska Zofia, Wiktorska Anna, Wójcik Bronisława, Potocka Maria.

25 wrzesień 1942 r. — Jachimowicz Stefania, Borkowska Janina, Dembowska Henryka, Dembowska Małgorzata, Boska Janina, Polakowska Wanda, Kierska Zenobia, Ryglewska Anna.

9 listopad 1942 r. — Głuszczyk Janina.

15 grudzień 1942 r. — Dragowska Maria, Dudnik Irena, Wiśniewska Władysława, Łagodzińska Wacława, Pobiedziska Jadwiga, Rożańska Janina, Palczewska Irena.

23 grudzień 1942 r. — Napiórkowska Janina.

10 lutego 1943 r. — Gnaś Helena i Maria.

11 lutego 1943 r. — Brandt Janina, Górka Janina, Woźniak Stanisława, Wądołowska Halina, Kiepus Lucyna, Leontiew Kazimiera, Pajaczkowska Maria.

15 marca 1943 r. — Matyjanka Anna, Bonder Janina, Szczęsna Wanda, Sereadowska Julia, Rydel Helena, Hołownia Danuta, Hubner Zofia.

29 kwiecień 1943 r. — Sawicz Helena, Ernest Halina, Błęcka Stefania, Litwinowicz Jadwiga, Cieślak Helena.

Śmiertelność naturalna była mała. Dotyczy to przede wszystkim okresu początkowego. Pod tym względem pamiętną być musi wizyta Himmlera (tradycyjnie raz do roku wizytował obóz), który po inspekcji wyraził się, że jak na tak duży obóz, śmiertelność jest za mała.

Ze względu na nieprzygotowanie obozu do zwiększającego się stale stanu, warunki sanitarno-higieniczne pogarszają się stale. Ciężota zwiększa się z miesiąca na miesiąc. Przyczyniają się do tego wciąż nowe i nowe transporty, przywożone z krajów okupowanych. Niemcy, wycofując się na skutek ofensywy aliantów, zabierają w głąb Niemiec więźniów z rozmaitych więzień i obozów. Na skutek już nie tylko głodu, ale i potwornych wprost warunków higienicznych, śmiertelność wzmaga się do tego stopnia, że zaistniała potrzeba wybudowania krematorium wyłącznie dla potrzeb obozu. Było to w kwietniu 1943 r. W połowie sierpnia 1943 r. przybywa pierwszy transport kobiet z Warszawy, z Powstania. Właśnie z ich szeregów śmierć zabierała najhorrzej- szej. Śmiertelność wśród nich była wielokrotnie większa, niż wśród „starych”, zahartowanych więźniarek. W tym okresie jeden piec krematorijny nie mógł wystarczyć. W końcu 1944 r. wybudowano drugi. Oba piece od tej pory dymią bez przerwy. Gruźlica, szkarlatyna, tyfus plamisty, tyfus brzusny, biegunki i obrzęki głodowe dziesiątkowały w tym okresie

obóz. Epidemie te zbierały swe żniwo zwłaszcza wśród Francuzek, mało zahartowanych i niedostatecznie odpornych. Przeciętna ilość zgonów w tym okresie wynosiła do 200 dziennie.

Stosunek Niemców do tego stanu rzeczy był specjalnie perfidny. Przybierali oni obłudną maskę miłosierdzia. Pod pozorem troski o kobiety słabe, stare i ułomne dr. Winkelmann (delegowany specjalnie do przygotowania obozu do piekarskiej ewakuacji) wydał w grudniu 1944 r. zarządzenie, obowiązujące służbę sanitarną na blokach (sanitätendienst), aby zrobić dokładny spis kobiet starych, niedołączonych i ułomnych! Miały być one umieszczone w znajdującym się obok obozie, w którym uprzednio urządzony był obóz dla młodocianych Niemiec (Jugendlager). Obiecywano mu tam lepsze odżywianie, lekką pracę (robiecie pończoch) oraz nie miało być tam wcale apelów. Perspektywa całkiem zachęcająca. Nie więc dziwnego, że na lep obiecanków dawały się nabrać kobiety — przede wszystkim z tak zwanej ewakuowanej ludności. Starsze więźniarki, znające doskonale perfidię niemiecką staczały formalne walki z nieuświadomionymi z jednej strony, a z drugiej — przebiegłością i sprytem usiłowały przeciwstawić skutkom żądzy umundurowanych siepaczy. Ofiary wyrivano Niemcom z pod rąk.

Więźniarki z Ravensbrück dobrze pamiętają co to był „Jugendlager”. Pamiętają jakie wrażenie wywoływały nadjeżdżające samochody ciężarowe, na które ładowano nie spodziewające się niczego złego kobiety i wywożono na „lepsze” warunki „życia”. Była to śmierć.

„Jugendlager” był skondensowanym siedliskiem śmierci. Był tam cel jeden: „vernichten”, „Jugendlager” — „Vernichtungslager”. Bardzo szybko zlikwidowano tam służbę sanitarną. Więźniarkom odebrano płaszcze (zima!). Urządzono 4—5 godzinne apele. Zmniejszono racje żywnościowe. A gdy śmierć w pożądanym tempie nie przychodziła usmierniano zastrzykami od 70 do 80 osób dziennie.

W końcu lutego 1945 r. wybudowano kamerę gazową, aby dzieło zniszczenia funkcjonowało sprawniej i szybciej. Od tego czasu nie było dnia, aby na terenie obozu nie ukazywały się zwozgi samochodów śmierci. Z każdego bloku zabierały one wybrane na t. zw. apelech selekcyjnych kobiety, lub zajeżdżały pod szpital obozowy, t. zw. „revier”, skąd wywożono wyznaczone na śmierć przez niemieckich lekarzy chore, ubrane tylko w kszulę i ładowane jedna na drugą, warstwami. Ładunki te szły prosto do kamery gazowej.

To powtarzało się 2 razy tygodniowo, w środy i niedziele. W pierwszych dniach marca 1945 r. wygazono cały niemal blok 10, w którym miesiły się gruźliczki i inne jakoby nieuleczalnie chore. Cynizm Niemców dochodził do tego stopnia, że już nawet nie bardzo kryto się z tym.

Ukoronowaniem całego zbrodniczego systemu wyniszczenia były apele selekcyjne. Ustawiano cały obóz na t. zw. apel generalny. Komisja, w skład której wchodził lekarze i dozorczyne SS, z dr. Winkelmannem na czele, obchodziła po kolei bloki i osobiście sprawdzała sprawność fizyczną poszczególnych więźniarek. Wystarczyło, żeby kobieta była siwa, miała mizerny, nędzny wygląd, jakiś defekt w budowie ciała, spuchnięte nogi, aby odstawiono ją na bok i pod pozorem przygotowania do wyjazdu z obozu zamknięto w odrutowanych blokach, skąd wywożono na „Jugendlager”, a następnie do kamery. Tragiczną, nie pozbawioną jednak pewnej dozy humoru, była walka zagrożonych w swym istnieniu ludzi z ciemnością. Pomysłowość święcia w tym wypadku niebawem triumfowała. Wkrótce zniknęły w obozie wszystkie kobiety, słabe, mizerne, ułomne. Co się stało. Otóż najprościej w świecie zaczęły farbować sobie włosy, do czego służyły rozmaite sposoby. Sadza rozrobiona z margaryną — nadawała siwym włosom kolor ciemny „marengo”, zdobyta w rewirze odrobina zielonej wody rozjaśniała siwiznę na kolor blond i t. d. Blade twarze zakwitały sztucznie rumieńcami, z trudem prostowały się zgarbione plecy. Trudniej było z ułomnymi. Te trzeba było ukrywać, aby w razie „inspekcji” ostatejnej „komisji” nie zauważono ich obecności. Do tego służyły rozmaite dziury, skrytki, strychy — gdzie w ostatniej chwili pakowano zagrożone kobiety. Często stosowanym sposobem było ukrywanie kalek w łóżkach, gdzie nakryte idealnie zrobiona w t. zw. „kratkę” pościelą, oczekiwały drżące i spocone, końca apelu. W ten sposób ratowano od tragicznej śmierci między innymi Halinę Krszelką, znaną w Polsce działaczkę i literatkę.

Mordercza machina działała prawie do ostatniej chwili przed wyzwoleniem. Ostatnia partia więźniarek poszła do kamery gazowej w Wielki Piątek 30 marca 1945 r. Zamknęła ona cyfrę stracon, które w ciągu jednego miesiąca wyniosły liczbę 4611 zagazowanych kobiet.

W Wielką Sobotę 1945 r. rozebrano kamerę gazową. Pozornie zniszczono ślady zbrodniczej działalności.

Zagadnienia i poglądy

„Tygodnik Warszawski” publikuje artykuł przedstawiciela ruchu chrześcijańsko-społecznego i wybitnego ekonomisty dr. Kazimierza Studentowicza p. t. „Radykalizm ruchu chrześcijańsko-społecznego w Polsce”. Artykuł ten mimo, że opatrzone podtytułem „dyskusyjny”, tak dalece odbiega od dotychczasowej linii „Tygodnika”, że stanowi pewną sensację. Dr. Studentowicz rozwija w nim znane — jak sam mówi — tezy współczesnej doktryny społeczno-ekonomicznej, opracowane przez ruch chrześcijańsko-społeczny w okresie wojny. Nie cytuję urywków artykułu, ponieważ jest tak dobry, że należałoby go przytoczyć w całości. Dzisiaj chcielibyśmy tylko na pewien szczegół zwrócić uwagę. Dr. Studentowicz tymi słowami kończy swój artykuł:

„Tak daleko w swym radykalizmie społecznym nie posunął się ruch chrześcijańsko-społeczny nigdzie na świecie. Sprawy te przypominam na łamach prasy na przestrzeni jednego roku już po raz trzeci, ponieważ dziwną uporczywość i milczenie, z jaką różni kandydaci na katolików radykalnych — co weszło ostatnio w modę — przechodzą do porządku dziennego nad konkretnymi sformułowaniami, już dawno przez ruch chrześcijańsko-społeczny w Polsce wypracowanymi i ogłoszonymi, podczas gdy sami dobrze nie wiedzą, czym i jak swój radykalizm poza mglistymi frazesami udowodnić”.

Czytając to, nasuwają się pewne sprzeczne refleksje.

Dr. Studentowicz ma niewątpliwie słuszność, twierząc, że bliżej niesprecyzowane elementy, które określa mianem katolików radykalnych, zbyt mało, jak dotychczas, ogłoszono na tematy społeczno-gospodarcze. To zaniedbanie napewno powinno zostać naprawione, choć nie jest tak bardzo groźne, zważywszy opinię samego dr. Studentowicza, że opracowania takie istnieją.

Wydaje mi się, że nie tyle ważna jest sprawa teoretycznych opracowań — które w różnych środowiskach katolickich są mniej więcej podobne — ile stworzenie warunków ich praktycznej realizacji. Dlatego nie bardzo rozumiem złośliwej nuty o modzie na „radykalnych katolików”. Na temat „radykalnych katolików” toczyła się ostatnio wyczerpująca dyskusja. I dziś już wiemy, że żadnych radykalnych, czy nieradykalnych katolików nie ma. Są poprostu katolicy. A ci mogą mieć na sprawy społeczno-gospodarcze mniej lub bardziej radykalne, albo konserwatywne poglądy. Mam wrażenie, że pod terminem „radykalnych katolików” dr. Studentowicz rozumie katolików o radykalnych poglądach społeczno-gospodarczych. Jeśli tak, to naprawdę trudno zrozumieć, dlaczego ironizuje, że nastąpił teraz na nich moda. Trudno zrozumieć nie tylko dlatego, że ironia taka stoi w wyraźnej sprzeczności z tezami jego wyjątkowo radykalnego artykułu. Ta ironia wydaje się nam przede wszystkim dlatego niesłuszna, ponieważ inaczej oceniamy szanse mody, o której mówi autor. Wydaje się nam, że dużo czasu płynie, nim będzie mogła naprawdę się przyjąć.

Z tej różnicy zdań wynika jedno stwierdzenie. Okazuje się, że nawet ludzie tej samej ideologii i głoszący te same programy, nie zawsze mogą się porozumieć i nabrać do siebie zaufania. Jeśli ruch chrześcijańsko-społeczny naprawdę chce realizować swój program, jeśli chce wychowywać społeczeństwo i odegrać rolę, do jakiej jest powołany, to najpierw tak poszczególne zespoły tego ruchu, jak i poszczególne działacze muszą zdobyć się na wysiłek stworzenia atmosfery zaufania i zrozumienia między sobą. Mimo takich, czy innych rozdziewków i nieporozumień odnosi się wrażenie, że jednak wszyscy idą ku sobie, że moment zjednoczenia i zrozumienia się jest realny.

dh.

Jan Dobraczyński

Przygody Kazimierza Jednego imienia Koźniewskiego

Niewątpliwie Koźniewski należy dziś do grona najciekawszych publicystów politycznych. Czym jednak będzie oprócz tego, o tym trudno dziś jeszcze powiedzieć. Fakt pozostanie faktem, że tylko pisarzem politycznym nie będzie. Najlepsi nasi publicyści polityczni potrafili być na marginesie swej działalności — powieściopisarzami. To samo czeka niewątpliwie Koźniewskiego.

Dwie książki Koźniewskiego już się ukazały, trzecia wychodzi łańda dzień. „Rok ziemi obcej” — skrzęty się dowcipem, odznaczający się żywością stylu i nieporównaną umiejętnościami obserwacji reportaży z części — niewątpliwie wyjątkowych przygód Koźniewskiego — stał się bardzo udaną pozycją literacką. Obok „Spraw Polaków” Osmańczyka trzeba książkę zaliczyć do tych, które poruszyły najgłębsze, a zarazem najbardziej ukryte nasze odczucia. Nowa — zapowiadana już przez „Czytelnika” książka Koźniewskiego, ma być dalszym ciągiem prawdziwych przeżyć autora.

Natomiast wydana niedawno „Szczotka do butów”*) nie jest obrazem rzeczywistych wydarzeń i przeżyć — choć jej treść odbywa się na prawdziwej trasie przygód

*) Kazimierz Koźniewski „Szczotka do butów” wyd. AWiR, Katowice, r. 1946, str. 231. Okładka i ilustracje Charlego.

Janusz Kawecki

Spór o „Penelope”

III

Epizod momusowy w młodości naszej „wielkiego człowieka do małych interesów” teatralnych uważam za bardzo ważny nie dlatego, że mu dał praktyczne podstawy do działalności na szerszej arenie. Byłem i jestem dzisiaj przeświadczony mocniej niż kiedykolwiek, że ów epizod ma przede wszystkim znaczenie zasadnicze, niejako symboliczne i że w starszycy jeszcze zobaczycie cień Marksa Reinhardta, który p. Szyfmana nie opuszcza, by kwestię wyczerpać do dna, czyli w pełni ocenić cały „dętyzm” jego legendy. Nie myślę ujmować wartości kabaretowi. Ale te wartości, równie odrębne, jak nikiel, nie dorastają do teatru i nie potrzebują nikomu aż dowodzić, że nie dorastają. Nie ja pierwszy i napewno nie ostatni zarzucam p. Szyfmanowi bezprogramowość, bezplanowość w pracy, chaotyczność, jednym słowem, bezieowość. A bez ideowości, bez idei nie ma przecież teatru przez duże T. Bez idei można prowadzić tylko kabaret i to—twierdzą pryncypialnie niektórzy kabareciści — kabaret przez małe k, gdzie krótka fala przypadkowych podnieceń i zachcianek oraz wątpliwych gustów nanosi uliczną lichotę. Obojętne w tej chwili dla mnie, czy p. Szyfman robił kabaret przez duże K, czy przez małe. Ze sposobu, w jaki poprowadził teatr, trudno mi wyciągnąć wniosek, że aspirował w czymś do większego kalibru.

Pytano się p. Szyfmana o program, o plan, o jego wizję pracy pod kątem reżyserii, kiedy otwierał Teatr Polski im. Juliusza Słowackiego, zyskawszy dlań warunki techniczne i materialne, o których daremnie marzyło wielu dyrektorów z prawdziwego zdarzenia. P. Szyfman milczał tym sfinksowiej, im natarczywiej pytano. Życie jednak płynęło naprzód i odzierając Sfinksa z tajemnicy, opowiadało za niego nagimi faktami i pozwoliło w końcu dokonać arcywymownej rekapitulacji.

Cóż się okazało?

Okazało się, że za wyłączny plus teatralny p. Szyfmana liczyły się rozmach dekoracyjny, gdyby p. Szyfman nie zajmował go — przepraszam za wyrażenie — z prostacka, z prostacka po burżujsku, po nuworozowsku; gdyby umiał go użyć we właściwej proporcji do sensu przedstawienia, no i gdyby, co trafiało się, często nie przytłaczał nim, nie „gasił” aktorów, jak to sam Reinhardt gasił Bonów i Moissich ku zgorszeniu krytyki, I

Koźniewskiego, jedynie w odwrotnym kierunku — ale powieścią. Powieścią typu sensacyjnego w najlepszym znaczeniu tego słowa. Przy tym sensacyjność jej nie zawiera się w niecodzienności przygód, ale w bez trosce, z jaką autor odrzucił wszystkie przeżycia wewnętrzne bohatera, by dać wyłącznie barwny tok wydarzeń. Akcja powieści ma więc tempo kinematograficzne. Bohater wpętan przypadkowo w zabójstwo pewnego gestapowca w Warszawie, musi uciekać z kraju. Trafia do Słowacji, po czym na Węgry. W drodze powierzona mu zostaje szczotka, w której ukryte są ważne papiery. Wiezie ją pieczołowicie dalej przez Turcję, Palestynę, Egipt, Afrykę środkową... W czasie swej podróży spotyka raz po raz interesującą postać niejakiego Krawczyka vel Konarzewskiego, w którym odkrywają niemieckiego szpiega. Z kolei trafia do Włoch, siedzi w więzieniu, by wreszcie trafić do Anglii i tam się przekonać, jak wielu nieporozumień padł ofiarą.

Jeżeli przeżycia wewnętrzne bohatera nie są wcale przez Koźniewskiego naryskowane i nie ma ich w powieści, to natomiast wszystko, co Koźniewski pisze o wydarzeniach, dokonywujących się obok mknącego przez historię bohatera, ma ścisłość dokumentu. Wojna wywarła na autorze książki niebywały wpływ — u-

kształtowała jego umysł w duchu zrozumienia historii i jej wciąż powtarzającego się rytmu. Kiedy się wie, że jedną z najbardziej porywających Koźniewskiego książek jest „Histoire de France” Bainville’a, zaczynamy rozumieć, dlaczego pisarz z taką pasją gromadzi materiał dokumentalny i dlaczego przywiązuje do niego tyle znaczenia. Koźniewski jest pisarzem politycznym, który nie na podstawie sztucznych konstrukcji myślowych, ale na podstawie historii buduje swe hipotezy polityczne. Ze te hipotezy sprawdzały się wielokrotnie w sposób zdumiewający — o tym piszący te słowa miał możność przekonania się nieraz w czasie konspiracji. Koźniewski już wtedy był cenionym publicystą politycznym prasy podziemnej.

To świetne wycucie rytmu i momentów historii w połączeniu z godnym zdrości zapasem przeżyć osobistych na wszystkich nieomal kontynentach świata, wszystko to wzbogacane o talent przemilego gawędziarza od harcurskiego ogniska — tworzy sylwetkę Koźniewskiego. Warto może zwrócić jeszcze uwagę na „harcerskość” autora „Szczotki do butów”. Koźniewski w każdej swej książce jest przede wszystkim „opowiadaczem przygód” — nigdy rezonerem. „Rok ziem obcej” jest typową gawędą opowiadaną kołom, — rówieśnikom i młodszym. W

Koźniewskim nie ma nic z buffonady. On się jeszcze skromnie tłumaczy, że to, co przeżył, to tak było naprawdę... To samo — choć inny jest „genre” utworu — mamy w „Szczotce do butów”. Koźniewski opowiada fantastyczne przygody swego „Andrzeja Marka — dwojga imion i nieważnego nazwiska”, z werwą, z humorem, z tupetem, ale nigdy nie wychodzi poza krąg bezpośredniego kontaktu z czytelnikiem — a raczej słuchaczem. Trzyma jego uwagę na uwięzi w równym stopniu perypetiami bohatera, jak swym osobistym czarem. To też „Szczotka do butów” stać się może znakomitą lekturą dla starszej młodzieży, zwłaszcza wtedy, gdy przeżycia wojenne zapadają już będą w mniej lub więcej mroczną dal wspomnień. Wolałbym jednak, aby wtedy znikły z powieści pewne mniej lub więcej pikantne szczegóły budapeszteńsko-kairskie, szczegóły których zdawkowy kolor — na szczęście — mówi raczej o bujnej fantazji autora, niż o czym innym. Myślę, że tego samego zdania jest zresztą uroczą pani Koźniewska...

Osobiście czekam niecierpliwie dalszego ciągu przygód Kazimierza jednego imienia Koźniewskiego, przekładając je nad przygody Andrzeja Marka. Tym niemniej uważam, że można „Szczotkę do butów” polecić tym wszystkim, którzy chcą w jednym krótkim szkicu powieściowym zobaczyć raz jeszcze „one world” tak niedawnej, a tak już szybko zacierającej się w naszej pamięci historii ostatniej wojny.

Jan Dobraczyński

pował farsy i im podobną błaszą produkcję, byle kasową i słusznie nie wtrącał się do polityki. Stąd tak łatwo, tak zręcznie przeskoczył lepki rowek między „Gałązką rozmaryna” a „Papugą”, Goetlem i Nowakowskim a Korcellin.

Ucinam wspomnieniem.

Będzie temu... Ech, mniejsza. Akurat popełniłem dziewczęcą recenzję z premii w Teatrze Polskim. Nazajutrz telefonuje do mnie do redakcji sekretarz p. Szyfmana, Józef Relidziński, poeta, że dyrektor zaprasza na rozmowę. Ano, idę. Rozmowa w trzech - czwartych składała się z monologu p. Szyfmana, który starał się mnie, żółtodziobego krytyka, wmanewrować na korzystną dla siebie pozycję i marginesowo chwalił Kerra. Wbrew inspiracjom sądziłem niewdzięczny, że najkorzystniejsza dla krytyka pozycja to ta, która nie przeczy jego poczuciu artystycznemu i sumieniu i później atakowałem niejednokrotnie p. Szyfmana. Po którymś ataku, dość ostrym, p. Szyfman zażądał od mego ojca cyrografu, potępiającego mnie publicznie za nieprzyjemną krytykę.

Też działo się — w rozmowie osobistej.

Nie żywię o to bynajmniej urazy. Każdy orze, jak może.

Janusz Kawecki

LISTY DO REDAKCJI

Całkiem słusznie wystąpił Z. K. w Nr 3 „Tygodnika Warszawskiego” w obronie pamięci i cześć s. p. arc. Zygmunta Felickiego w odpowiedzi inas passkwil Ksawerego Pruszyńskiego, umieszczony w „Odrodzeniu”. Niestety zamiast przytoczenia faktów i argumentów, których nie brak, Z. K. zaznacza, że „wezawny do Petersburga arc. F. w oczy carowi Aleksandrowi II powiedział całą prawdę, potępiając ucisk i okrucieństwo, stosowane wobec ludności polskiej. Z tej audjencji arc. F. nie wrócił już do swej archidiecezji i kraju”.

Sądźmy jednak, że od autora powyższego artykułu, redaktora poważnego pisma katolickiego, można wymagać lepszej znajomości dziejów ojczystych. Arc. F., jak zresztą zaznacza sam w swych pamiętnikach (Lwów. 1911. tom II. Str. 265—277 w dniu 14 czerwca 1863 r. wyruszył z Warszawy do Petersburga, lecz

w Gątczynie, miejscowości odległej od stolicy o 40 kilometrów, z rozkazu Aleksandra II został zatrzymany i po trzydniowym tam pobycie wywieziony do Jarosławia, gdzie, jak wiadomo, spędził 20 lat. W imieniu cara wszystkie pertraktacje i rozmowy prowadził radca tajny Płatonow, ówczesny sekretarz stanu Królestwa Polskiego. Arc. F. zaś osobiście z cesarzem A. II wtedy nie rozmawiał, nawet nie był nigdy w r. 1863 w Petersburgu.

X. U. W związku z notatką p. t. „Przez dziurkę od klucza”, drukowaną w numerze „Dziś i Jutro” z dnia 1 grudnia 1946 r., a zawierającą szereg rażących nieścisłości, proszę o umieszczenie na łamach swego pisma niniejszego sprostowania:

Nieprawdą jest, jakobym był na Mokotowie w czasie powstania „w charakterze urzędnika Dowództwa Obwodu” oraz jakobym „nie wahał frontu”. Natomiast

WYDAWNICTWO E. KUTHANA W WARSZAWIE

zawiadamia, iż ukazała się

praca ADAMA KRZYŻANOWSKIEGO

prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego

WIEK DWUDZIESTY

Str. 353.

Cena 600 zł.

Jest to historia dziejów społeczno-politycznych czasów najnowszych, uwzględniająca wydarzenia ostatniej wojny.

Książka opracowana na podstawie gruntownych badań naukowych, zredagowana została atrakcyjnie i ciekawie, by mogła dotrzeć do najszerszych warstw czytelników.

prawdą jest, że byłem żołnierzem grupy „Granat” (1-go plutonu, wzgl. działanu, 1-szej drużyny) i brałem udział w akcjach tego ugrupowania do dnia 23.VIII 1944 roku, kiedy rozkazem dziennym D-cy Obwodu zostałem skierowany do D.twa.

Nieprawdą jest, jakobym w D.twie „zajmował się wyszukiwaniem papieru i atramentu dla sztabu”, natomiast prawdą jest, że prowadziłem ewidencję pism wchodzących i wychodzących oraz zawiadywałem archiwum aktów.

Nieprawdą jest, jakobym „jadał w tej samej stołówce, co oficerowie — mniej może dla swych zasług, ile dlatego, że byłem jakimś tam kuzynem zastępcy dowódcy Mokotowa, ppłk. Góry”. Natomiast prawdą jest, że w dowództwie była tylko jedna stołówka, że nie byłem i nie jestem w żadnym stopniu spokrewniony z ppłk. Górą, którego nie znam nawet prawdziwego nazwiska, a który na Mokotowie pełnił funkcje szefa sztabu.

Nieprawdą jest, jakobym „gdyby nie ppłk. Góra został zatrudniony przymusowo przy kopaniu rowów”, natomiast prawdą jest, że nie było zwyczajnie żołnierzy zatrudniać przymusowo przy kopaniu rowów, oraz prawdą jest, że po drugim rozbiciu grupy „Granat” także jej dowódca, kpt. Janusz, pracował w sztabie.

Nieprawdą jest, jakobym „wiadomości, wykorzystane w „Powstaniu mokołowskim”, uzyskał drogą „podśluchiwania pod drzwiami”, natomiast prawdą jest, że czerpałem je z aktów i pism, osobistych przeżyć oraz rozmów prowadzonych bezpośrednio z oficerami i żołnierzami z Mokotowa.

Jerzy Pytlakowski

Jerzy Pelc

Kordian Pokrzywdzony

Kordian taki, jakiego na szczycie najwyższej góry Alp upozował młody Juliusz Słowacki, wraził się w pamięć czytelników niewspólnością ambicji i tęsknoty romantycznych przy braku zupełnym nysli wielkiej, kierującej, o której "oznaczanie modlił się słowami aktu pierwszego tragedii.

Kordian z powieści Kruczkowskiego upamiętnia się inną wadą, w oczach autora bez porównania większą i niewybaczalną: jest szlachcicem.

Szlachta zaś znalazła się na kartach tej, pesymistycznym obeszwardniającym przesiąkniętej powieści, po drugiej stronie barykad. Skupia w sobie mnogość win, grzechów, zaniedban i zbrodni, które przyćmiewają, jeśli nie paraliżują, wszelkie porwy szlachetne, wszelkie uczucia o dodatniej wartości moralnej — wśród nich nawet patriotyzm.

To nagromadzenie cieniów po jednej, a krywd po drugiej, chłopskiej, stronie, stanowi okoliczność sprzyjającą rozgorzeniu walki pomiędzy obozem Kordianów a gromadą chamów. Tu jednak autor się zjawia, by wytłumaczyć chłopom i czytelnikowi, że walka taka jest bezcelowa, bo trybunałem najwyższym, instancją ostateczną, stać się musi sprawiedliwość pańska. Co więcej: tłumaczy, że walka ta jest niemożliwa, bo ci, którzy winni się bronić zaciekle i nieustępliwie, którzy winni zaufać swej liczebnej przewadze, niezdolni są do działania.

Kordian, czy cham, jest bohaterem powieści — szlachta, czy chłopcy? — Ni jedni, ni drudzy. Żadna też sprawa prywatna, pojedyncza, nie stanowi osi zagadnienia.

Krzywdą ludu wiejskiego, ukazana ze wszystkich stron, wołająca o pomoc do Boga (jeśli i On nie jest panem i zechce się ulitować nad nieszczęśliwym) została obrana bohaterką książki.

Nędza i ucieszenie, niewola i wyzucie z praw obecne są, jak bohaterom powieści przystało, na wszystkich jej kartach — bohater zaś ludzki, raz po raz nikić w cieniu zagadnień, usuwa się na plan drugi, ustępuje, a skoro nawet jest z czytelnikiem sam na sam, gdy idą polną drogą ramie w ramie, nie widać jego twarzy, nie widać postaci Kazimierza De-

czyńskiego, wiejskiego nauczyciela i poborowego carskiej armii.

Wkroczył on do powieści sam, żywy, autentyczny Deczyński, autor bolesnego pamiętnika — „Opis życia wieśniaka polskiego” — który stał mu się biletem wstępu — wkroczył tu prosto od swych utrapien i kłopotów, nie przybrany w strój powieściowy, nie udrapowany w szatę fikcji romansowej: człowiek — dokument potrzebny w tym montażu pseudohistorycznym ze względu na kwestię społeczną, którą reprezentuje.

Jest nią „sprawa chłopską w Królestwie Kongresowym, w dobie poprzedzającej bezpośredni wybuch powstania listopadowego”.

Dramat ten mało skomplikowany: w Brodni wiosce niewielkiej, żyje, a raczej wegetuje i ugina się pod ciężarem krzywd swoich ojców i sasiadów chłop jak i oni, ale kształcony nieco w okolicznej szkółce klaszornej i z tej racji nauczycielem mianowany, Kazimierz Deczyński. Żył on istotnie w tym czasie i wycierpiał to wszystko, co mu na kartach powieści znosił kazał autor. Gdy wyczerpała się i przebrała miara wytrzymałości ludzkiej, chłopci zebrani w karczmie uczynili „Kazimierka” swym pełnomocnikiem i wysłali go do Warszawy, aby złożyć memoriał w ich sprawie u stóp tronu, aby przedstawił ich krzywdę i przemoc dzierżawcy, pana Czartkowskiego, złego i bezwzględniego szlachcica. Memoriał nie odniósł skutku, bo komisja wyznaczona do zbadania porządków panujących w Brodni, kierowała się szlachecką, nie chłopską sprawiedliwością. Dziedzic natomiast, mszcząc się na buntowniku i burzycielu chłopstwu, pozbawia go posady nauczyciela i jako wójta wioski posyła „w żołdactwo”. Zło triumfuje nad dobrem: Czartkowski z dzierżawcy zostaje właścicielem wioski — los chłopów jest przesądzony.

Ten triumf zła nad dobrem świadczy o pesymizmie, który kazał wyszukać i wyliczyć całą litanię wad społecznych i błędów, a zalety osłonić cieniem zasadniczych wątpliwości, znaków zapytania.

Gwałty i ucieszenia gorsze są od trudów życia pańszczyźnianego szlachta rda widzieć chłopca ciemnego, bo się boi uświadomienia ludu wiejskiego; szlachcic jest wrogiem postępu, bo wierzy w swoim

roku wszystko, a nigdy się nie zdobywa na pracę twórczą: Polska upadła, bo zdała ją polip szlachetczyzny.

A po stronie chłopskiej: bierność, brak inicjatywy, bezsilność — słowem wady niezawinionie.

Czy to prawda wszystko? Tak, za każdym razem, tak! Mimo to obraz nie narzuca się prawdziwością ujęcia, obiektywizmem spojrzenia. Szukamy punktu jasnego, jedynego światełka nadziei. Gdzież ono zabyśnie? Nie po stronie szlachcickiej, bo ta jest wyklęta. Może więc po chłopskiej, może nie teraz, może w przyszłości?

„Chyba... chyba, że się ta kiedy ruski cesarz srożej na polskie jaśniepaństwo zgnieca i, choć sam twardy władacz, onym na złość dole chłopską w tym kraju poprawi, ziemię naród uwłaszczy i prawami obdarzy!...”

Tak ma wyglądać zmiana na lepsze? Takie mają być źródła poprawy? Tym mamy sycić nadzieje?

Myli się autor, mówiąc, że „Kordian i cham” jest w całości powieścią dokumentarną — co najwyżej operuje on materiałem dokumentarnym, który powłóki czernią beznadziejności i pesymizmu.

Aby choć na chwilę wyjść spod jego władania chronimy się do wiejskiego kościoła w Brodni, gdzie ksiądz proboszcz czyta z ambony ewangelię, której myślą przewodnią — słowa w obronę biorące nieszczęśliwych i pokrzywdzonych:

„wzszelki, co się wynosi, niżon będzie; kto się unia, wywyższon będzie”.

I nawet tutaj reprezentant Kościoła, urzędowy głosiciel miłości bliźniego, wypaczy myśl Pisma i zamiast karmić nadzieją lepszego jutra, jutra wiecznego, będzie ciskał w chłopów gromy za nieposłuszeństwo wobec władzy pańskiej, bo sam jest panem!

Czy to także dokument? Czy naprawdę ksiądz Bończa postąpił w ten sposób? Czy może tylko wola autora nakazała papierowemu księdzu na papierowej kartce sprzeniewierzyć się obowiązkowi służeni prawdziwie? Mogło być i tak i tak; wiemy: różnie bywało i będzie, bo księża są ludźmi. Regula jednak czyniąca z duszpasterza ambasadora spraw szlacheckich, jest fałszywa.

„Zakazane Piosenki”

Bohaterem pierwszego długometrażowego filmu polskiego, zrealizowanego po wojnie, jest piosenka. Tak przynajmniej informuje wytwórnia w zamieszczonym na wstępie anonisie. Dla czego więc, mimo bardzo dobrego doboru tekstów i melodii, mimo starannego ich wykonania widz oglądający film odczuwa zawód?

„Zakazane Piosenki” nie są filmem pozbawionym zalet. Przeciwnie, jest ich nawet duże. Przede wszystkim doskonale dobrane sylwetki okupacyjne. Zwłaszcza te potraktowane jako drugoplanowe. Aż dziwnie, skąd Film Polski wynalazł tylu zdolnych artystów do odtworzenia najautentyczniejszych postaci szmuglerów, przekupniów, muzykantów, żebraków i t. d. Mniejsza zresztą o to. Wystarczy fakt, że film składa się z żywych ludzi i to jest bodaj największa jego zaleta.

Równie dobrze jak sylwetki odtworzone zostały w „Zakazanych Piosenkach” sytuacje. Poza scenami, w których występują pojedynczy Niemcy, wszystko inne tętni prawdą. Nawet tak trudne do zrealizowania fragmenty warszawskiego powstania, zrobione zostały b. dobrze (czyżby wytwórnia udeło się zdobyć taśmy autentycznych filmów, nakręconych w sierpniu 44 roku?). Sceny rodzajowe, jak odczytywanie pierwszych przepisów, jak konspiracyjne spotkanie na przystanku tramwajowym, nie właściwie nie pozostawiają do życzenia.

Trzeba przy tym zapisać na dobro reżysera, że umiał utrzymać się w granicach szczerego liryzmu, nie tworząc melodramatu, ani patetycznej szmyry. Polska produkcja przedwojenna zbyt często, niestety grzeszyła pod tym względem. W partiach humorystycznych element komizmu dawkowy jest subtelnie i bez trywialności. Jest to tym ważniejsze, że wiele tekstów piosenek operuje zwykłym warszawskim żargonem i wszelkie przejście dopuszczalne granicy wulgaryzmu byłoby nie do zniesienia.

W sumie przed oczami widza przesuwa się pasm dni okupacyjnych, takich jak były w istocie, trzy czy pięć lat temu, z wiernym oddaniem nastroju każdego okresu wojny, z umiejętnym podkreśleniem cech najistotniejszych danego roku. Drobne usterki w tym zakresie, jak np. niezmiennosc pogody przez cały przeciąg

wojny, lub elegancki wygląd warszawiaków w jesieni 39 roku, można ostatecznie wybaczyć.

A jednak film ma bardzo poważne braki. Oglądając go odczuwa się niedosyt. Nie wynika on nawet ze słamazarnego często tempa

Istotnie słabą stroną filmu stanowi scenariusz.

Na scenariusz filmu patrzeć można dwojako. Rozpatrując jego wartości artystyczne, a więc z punktu widzenia estetyki, lub zastanawiając się nad zawartością myślową fabuły i jej znaczeniem społecznym. Przy tym w drugim wypadku istnieje w filmach w rodzaju „Zakazanych Piosenek” podwójna jeszcze problematyka. Tworzą ją pogląd autora na przedstawianą epokę i wartości przeżyć oraz jakość myśli dostarczonych widzowi. Obie sprawy zostały w „Zakazanych Piosenkach” potraktowane wadliwie.

Istotą każdej sztuki dramatycznej, a więc i filmu, jest spłot działań. Owe starożytnie „drontas”. Działania i wynikające z nich zdarzenia tworzą kompozycję utworu dramatycznego, a dążąc do jakiegoś konsekwentnego rozwiązania, przechodząc etapy rozwoju i stopnie napięcia, trzymają w napięciu uwagę widza i wywołują w nim określone ilości przeżyć. W „Zakazanych Piosenkach” nie się właściwie nie dzieje. Historia miłości Ryszarda i Ireny ma charakter wyraźnie epizodyczny i nie wypełnia filmu. Historia piosenki jest jedynie zbiorem oderwanych obrazków i żadnej nie tworzy całości. Ot tak jakbyśmy przeglądali przypadkowy zbiór fotografii nalepionych w albumie.

Próby zastąpienia akcji z czasów okupacji obrazkami z Łódzkiego studia są zupełnie tragiczne. Nie wiem, czy chodzi o powtórzenie triku Sachy Gutry, czy może o inne względy, dość, że i tak mizerna akcja rwana nawrotami do białych i oderwanych wypadków wojennych jest nie do strawienia.

Nie lepiej przedstawia się sprawa poglądu realizatorów „Zakazanych Piosenek” na wydarzenia okupacyjne. Nie lepiej wartość społeczną ich myśli i sugestii dostarczanych widzowi.

Autor scenariusza zupełnie nie zdaje sobie sprawy, o co właściwie walczyło społeczeństwo polskie i jaką w tej walce

rolę odgrywała piosenka. Przynajmniej nie objawia swego zrozumnienia w filmie. Ot tak — wystawały melodie i słowa, ludzie pocieszali się muzyką i tyle. Realizm scen często nawet trafnie uchwycony, pozbawiony jest jakiegokolwiek myśli, która mogłaby uzasadnić, czy choćby zaznaczyć ponurą tragedię narodu walczącego wszelkimi siłami — jakże słaby mi wobec przemocy przeciwnika — o swój byt. Ostatecznie nie wszyscy bojownicy konspiracji składali się tylko ze zbuntowanych muzyków i nie wszystkie oddziały partyzanckie powstawały jedynie ze „spalonych”. Akcja wykonywania wyroku na folksdeutechkę, czy napad na pociąg nie znajdują swego uzasadnienia w akcji filmu. Dzieją się nie wiadomo poci i dlatego. Wolno artystę obrazować jedynie fragmenty ogólnych zdarzeń, nie wolno tworzyć sugestii, że wyczerpują one zagadnienie.

Rozumiemy trudności, z jakimi walczy film powojenny. Przyznajemy, że wytwórnia państwowa wybrnęła z nich przez ważne szczęśliwie. Wprawdzie p. Danuta Szaflarska nie spełniła naszych nadziei i jej gra pozostawia dość dużo do życzenia, ale to raczej jej niedokształcenie artystyczne, z którego prawdopodobnie wyzwoli się na przyszłość, niż wina reżysera. Wydaje się, że zrobił on bardzo wiele, by w pełni wyzszykać rozporządzone granice talentu, z jakim miał do czynienia. Także podkreślone na początku recenzji niezaprzeczone zalety filmu są dowodem rzetelnej pracy łódzkiej wytwórni. Pretensje mamy o co innego. Nie wolno najważniejszego tematu i to opracowywanego po raz pierwszy powierzyć pierwszemu z brzegu autorowi. Zarówno waga zagadnienia, jak i nawet kwestia wysiłku finansowego, włożonego w realizację filmu, powinny nakłonić odpowiedzialnych za tę sprawę do większej uwagi. To, co powstało jako praca p. Starskiego i co gorzej zostało zrealizowane, dowodzi zupełnego braku odpowiedzialności u kwalifikujących rzecz choćby tylko z punktu widzenia estetycznego. Dowodzi także, że wielu ludzi nie zdażyło chyba jeszcze przeżyć i przemysleć w pełni minionych sześciu lat, jeśli dopuszczono do wykonania tak niefortunnego ujęcia dobrego w gruncie rzeczy pomysłu.

mk.

„Gdzież więc chłopu szukać tej... sprawiedliwości? Chyba dopiero gdzie w drugim życiu... u Pana Jezusa!...”

— Kiedy i on pan... to pewnie też z panami trzyma?

— Nihy, jakże to? — rozdziawił gębę Partyka

— Ano, mówicie przecież: Pan - Jezus, a nie na ten przykład, chłop - Jezus.

— Ej, cóż wy też, Derkacz!

— No, b o prawdz-wie, tak wypadal... I z niego oni pana zrobili, choć wiadomo, że boso chadzał i dachu nie miał nad głową!... A sprawiedliwiejby mówić: chłop-Jezus!...”

Takie to rozmowy wiedli poboznym kmiotkowicie we wsi Brodnia roku pańskiego 1827 czy 8-ego.

„Chłop-Jezus” świadczy wyraźnie o budzącej się „świadomości klasowej” ludu polskiego. „Ten moment, to słowami autora, wież aktualności, przerzucona pomiędzy dniem dzisiejszym, a „historycznym” tematem tej książki”. Wież, trzeba przyznać, nie jedyna, bo żywo staje w pamięci nieodległe wczoraj, gdy słyszymy słowa karcmarza: „Ja panie żołnierzu pasy daribym z zydstwa całego... rozumiesz asan, pasy daribym i solą popyssywał” — słowa, poparte dobrze znaną argumentacją ekonomiczną, wyrosłą na mierzwie zaradkości i nieuczciwej konkurencji handlowej. Właśnie ta argumentacja (niefortunny włożona w usta sklepi-karza wiejskiego) sprawia, że balansujemy na krawędzi anachronizmu, a przed upadkiem w terażniejszści chroni przywołany na pomoc... ojciec demokracji polskiej, ks. Stanisław Staszic, ze swymi uwagami: „O przyczynach szkodliwosci Żydów”.

„Kordian i cham” nie jest w pełni dokumentem, nie jest też w pełni powieścią historyczną; zbyt silna „wież aktualności” przeszkodziła półtorawiecznej perspektywie, a nagromadzenie krzywd i cieniów czyni z niej książkę o tendencji społecznej. Ani zaś dokument, ani dzieje nie konstruuja faktów na miarę tendencji.

Uchylając zasłony, za którą panują mroki zamkniętej niepowrotnie przeszłości, autor rzucił w nie blask, rozjaśniający dzień dzisiejszy.

Staną przy tym na stanowisku klasowym. Dało mu ono możność ujrzieniaędzy ludu w całej bolesnej wyrazistości prawdy, a winy panów w całej surowości ich czynów i postępów. Z drugiej jednak strony skłoniło do uprzedzeń, niesprawiedliwych chyba, gdy je skonfrontować z rzeczywistością. Dzieje się tak, na przykład, gdy powód przystąpienia podchorążego Czartkowskiego do spisku patriotycznego widzi w znudzeniu życiem koszarowym, monotonią zajęć podoficerskich i w rozczarowaniu z powodu nieotrzymania awansu. Czy istotnie powstanie listopadowe miało być rozrywką dla znudzonych paniczików?

Gdzieindziej przecież chętnie podaje autor ucho wypowiedziom poezji romantycznej, zwąc Niemcewicza eunuchem, czy też Lelewełowiu podsuwając w chwili dziejowej decyzji ośmieszającą spekulację — czy jest naród, czy go nie ma. Po, słuchał też romantycznej lutni, wplatając motyw z „Lilli Wenedy” do scen swej powieści: Żydówka w ustach niesie spragnionemu mżowi wodę i, jak córka Derwida z wiankiem lilij na głowie, podstępem przekracza mury więzienia.

W ujęciu zaś genezy powstania przeciwstawil romantyzmowi sceptycyzm. Czyżby „dokumentarny”?

Szlachty, odartej w ten sposób i z cnót patriotycznych także, trudnoby w istocie nie unać za godną potęgą. Kordian jednak został tu pokrzywdzony.

Za to w chłopstwie rozbudziła się świadomość klasowa: podchorąży Czartkowski wzywa Deczyńskiego do broni w chwili wybuchu powstania.

„Z nami! Wrogowi moskiewskiemu do pierśi uderzyć żelazem!”

— Nie znam wroga moskiewskiego...

— Na Boga! Czyż oszalał, Deczyński!

— Przytomnie mówię... Któż jest wróg?... Ten, co gnębi i jarami...

— Moska!

— To szerokie słowo!... Nie znam...

— Car!

— Nie znam cara!... Moim wrogiem są ciemiężcy i krzywdziciele ludu chłopskiego, których znam dobrze!... Których synami wy jesteście!... Wy!

— Milcz! Jest rewolucja! Kto nie z nami, ten przeciw nam!

— Nie mi do waszej rewolucji, panie podchorąży!... Mojego ojca twój ojciec batogiem wychłostał — pamiętam!

— Ach, szelmo... Nie idziesz z nami?

— Mojemu ojcu twój ojciec...

Gwer podchorążego zatoczył łuk w powietrzu... Podniesiona kolba grzmotnęła przedsię, nawprost, naoslep — ...

Jakże cenę każe płacić autor chłopcu za rozbudzenie świadomości klasowej? Cenę patriotyzmu?

Budzi się wątpliwość, czy nie właściw-

szy byłby tytuł inny: „Cham pokrzywdzony”!

Jerzy Pelc

Redkuje: Kolegium redakcyjne.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81 m 17, tel. 880 71. Konto P. K. O. — Nr I—727. Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4.
Redaktorzy przyjmują: W. Bieńkowski we wtorki, czwartki i piątki g. 11—13, J. Dobraczyński w poniedziałki i środy g. 11—13. W. Kętrzyński w środy g. 13 — 14.30, soboty g. 12—14.

Prenumerata miesięczna 40 złotych. Kwartalna 120 złotych.
Złożono w Zakł. Graf. „Dziwnia” Włocław 54 17772

Odbito w Drukarni „Czytelnik” Nr 2, Marszałkowska 37.